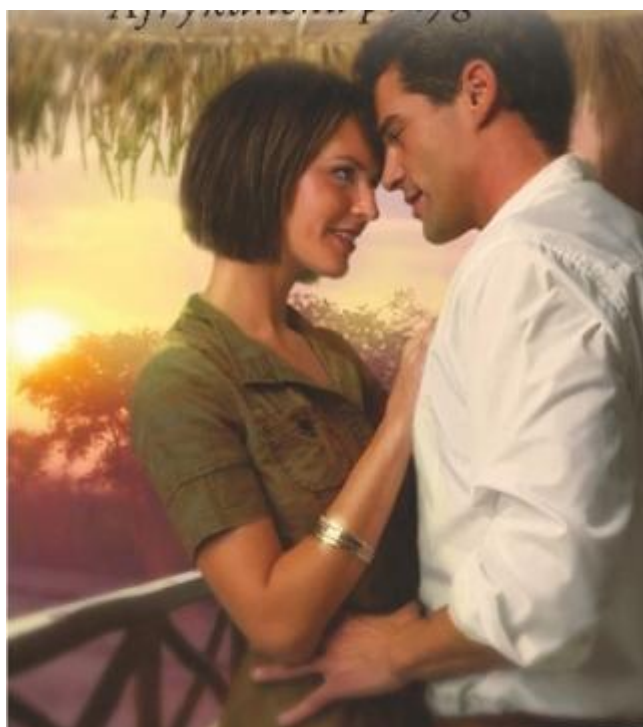




Liz Fielding



Afrykańska przygoda

ROZDZIAŁ PIERWSZY

„Starannie wybierzcie miejsce, w którym urządzicie ślub i wesele. Dzięki ciekawej lokalizacji wasza ceremonia będzie inna niż wszystkie”.

Serafina March „Ślub doskonały”.

- Przepraszam, gdzie?!

Josie Fowler sama nie wiedziała, co zdumiewa ją bardziej: lokalizacja (mimo spekulacji mediów od roku udawało się utrzymać ją w tajemnicy) czy fakt, że Marji Hayes, redaktor naczelna pisma „Celebrity”, zdradza jej tak pilnie strzeżony sekret. Właśnie jej.

- Botswana! - powtórzyła jej rozmówczyni szeptem, jakby obawiała się, że telefon jest na podsłuchu. - Dzwoniłam do Sylvie. Nie ukrywam, że liczyłam...

- Na co? - Josie wstukała jednym palcem hasło „Botswana” do wyszukiwarki.

Głupie pytanie, gdy zna się odpowiedź. Marji Hayes miała nadzieję, że arystokratka Sylvie Duchamps Smith rzuci wszystko, by chwytać okruchy z weselnego stołu, o który toczy się gra. A było o co się bić. Propozycja zorganizowania ślubu roku to nie la-da gratka. Niestety, panią redaktor spotkał zawód. Sylvie nie miała zamiaru zostawiać dziecka, by ratować jej pismo z opresji.

- Rozumiem, że Sylvie jest na urlopie macierzyńskim, ale miałam nadzieję, że impreza tej rangi...

Josie spokojnie czekała na dalszy ciąg. Doskonale wiedziała, że Sylvie nie skusi nawet najwspanialsza oferta. Z drugiej strony miała świadomość, jak wielkie znaczenie ma ten telefon.

- Wiem od Sylvie, że zostałyście współniczkami i teraz pani jest odpowiedzialna za organizację ślubów i wesel. - W głosie Marji pobrzmiwało niedowierzenie.

Nie ona jedna była zszokowana tym awansem. Setki osób uniosły brwi na wieść, że Sylvie uczyniła swoją asystentką dziewczynę, która wcześniej pracowała na zmywaku w hotelowej kuchni. Tak zwane towarzystwo poekscytowało się sensacją, po czym przeszło nad nią do porządku dziennego. Bo czym się tu podniecać? W końcu Josie była tylko „chłopcem na posyłki”, taką „przynieś, podaj, pozamiataj”. Pełniła tę podrzędną rolę

krótka, bo szybko dała się poznać jako sprawna organizatorka, osoba godna zaufania. I odporna na stres. Była tak dobra, że kilka firm z branży próbowało ją podkupić, kusząc atrakcyjnym wynagrodzeniem i efektownym tytułem na wizytówce. Jako drugie skrzypce sprawdzała się doskonale, jednak pomysł, by samodzielnie przygotowywała imprezy, okazał się trudny do przełknięcia. Ostrzegła Sylvie, że tak będzie.

- Jest pani bardzo młoda jak na tak duże przedsięwzięcie - zauważyła Marji. - I jeszcze ten ekscentryczny wygląd! - Roześmiała się z przymusem.

Josie musiała przyznać jej rację. Miała dwadzieścia pięć lat, faktycznie mało jak na współwłaścicielkę firmy. Chwilami czuła się stara jak świat, ale co z tego? A wygląd zewnętrzny... cóż, na pewno był oryginalny.

Na przykład fioletowe pasemka. Josie uważała, że są równie istotnym elementem wizerunku, jak klasyczne garsonki i perły w przypadku Sylvie.

- Sylvie miała dziewiętnaście lat, kiedy założyła „SDS Events” - przypomniała redaktorce. Sama, bez pieniędzy i dachu nad głową. Za to wiedziała, jak zorganizować świetną imprezę. Jednym słowem obie zaczynały od zera; poza tym różniło je wszystko. Jednak Sylvie, pomna swych doświadczeń, nie bała się dać szansy obcej dziewczynie. Podała jej rękę, choć inni na jej miejscu zastanowiliby się dwa razy. A znając prawdę o Josie, zrobiliby w tył zwrot.

Od początku świetnie się rozumiały i uzupełniały. Sylvie wabiła klientów arystokratycznym pochodzeniem i wrodzoną elegancją, a Josie, twarda dziewczyna z ludu, odwaliała czarną robotę. Nie straszne jej były nietypowe lokalizacje, pijani goście oraz kelnerzy. Krewkich imprezowiczów osadzała jednym spojrzeniem. Robiła swoje, ale uważnie obserwowała Sylvie, podświadomie chłonąc jej styl. Niby wciąż wyglądała jak buntowniczką, ale przeszła wielką wewnętrzną przemianę. Skwapliwie wykorzystywała szansę. I cały czas się uczyła: projektowania, zarządzania, marketingu.

- Gdybym nagle zmieniła styl, ludzie by mnie nie poznali.

- Faktycznie. - Śmiech Marji zabrzmiał protekcyjnie. - Na szczęście nie będzie pani musiała nic wymyślać, bo od dawna mamy plan. Musi pani dopilnować realizacji...

Jednym słowem superfucha. Tylko że nikt „z nazwiskiem” jakoś nie chciał jej wziąć. Przeklęta baba umiała sprawić, żeby człowiek poczuł się jak śmieć.

Josie aż świerzbiał język, by powiedzieć pani redaktor: „wsadź sobie gdzieś ten swój ślub”. Zwyciężył zdrowy rozsądek, którego nigdy jej nie brakowało. Taka oferta nie trafia się co dzień, więc nie wolno zawalić sprawy. Ślub roku to najlepsza reklama. Jeśli wszystko się uda, to choćby przemalowała się cała na fioletowo, klienci i tak będą walić drzwiami i oknami. Do niej, do Josie, mistrzyni w swoim fachu, a nie tylko zastępczyni Sylvie.

- Czy możemy przejść do konkretów? Za dziesięć minut mam spotkanie - oznajmiła, mając dość gry w „nie chcę, ale muszę”, którą uprawiała Marji.

Asystentka spojrzała na nią pytająco, bo na dziś nie miała nic w planach.

- Zatem do rzeczy. Chyba nie muszę pani przypominać, że wszystkie informacje są poufne. - Cierpka słodycz w głosie redaktorki sugerowała, że jednak musi.

I tu się myliła. Josie czytała o przygotowaniach do ślubu najdroższego piłkarza, Tala Newmana, z modelką Crystal Blaize. Pismo „Celebrity” przebiło konkurencję, ale musiało zapłacić fortunę za wyłączne prawo do publikacji zdjęć z imprezy. Nic dziwnego, że właściciele tytułu chcieli zarobić na tym jak najwięcej. Dlatego miejsce, w którym państwo młodzi powiedzą sakramentalne „tak”, było pilnie strzeżoną tajemnicą. W ten sposób podsycano zainteresowanie czytelników i chroniono się przed sabotażem ze strony konkurencji, która mogłaby wysłać szpiega i opublikować kompromitujące materiały.

Gdyby Josie pisnęła komuś choćby słówko, strzeliłaby gola do własnej bramki.

- Będę milczała jak grób - zapewniła. - Nawet nie wiem, gdzie leży Botswana - skłamała, czytając w komputerze krótki artykuł zachwalający uroki „spokojnego i pięknego kraju na południu Afryki”.

- Botswana jest ostatnio szalenie modna. - Marji była zdegustowana jej ignorancją.

- Naprawdę? Nie wiedziałam. - Bo nie tropię obsesyjnie wakacyjnych trendów wśród celebrytów, pomyślała.

- Crystal uwielbia zwierzęta! - ekscytowała się Marji.

Zwierzęta? W Afryce?

- A konkretnie? Co chce zobaczyć? Słonie? Lwy? - Nie, raczej coś mniejszego. - Małpy?

- To też. Ale prawdziwą atrakcją będą lamparty!

Gideon McGrath, jak każdy przedstawiciel *homo sapiens*, miał kiepsko rozwinięty węch, a jednak znajomy zapach Leopard Tree wyczuł, zanim terenówka wjechała na teren ośrodka. Był to świeży i słodki aromat traw, który wabił zwierzęta zamieszkujące pustynię Kalahari.

Spojrzał na rzekę, którą uważał za własną, i serce zabiło mu mocniej. Kierowca zaparkował na cienistym podejździe, ale Gideon się nie ruszył; zbierał się w sobie, bo nawet tak prosta czynność jak wysiadanie była w tej chwili sporym problemem.

- *Dumela, Rra!* Jak dobrze znów pana widzieć!

- Francis! - Gideon uściśnął dłoń mężczyzny, który wyszedł na powitanie.

- Dawno pan u nas nie był, ale nie traciliśmy nadziei, że pan wróci. - Szeroki uśmiech znikł z jego twarzy. - Bardzo boli?

- Eee tam, to nic poważnego! - Gideon machnął ręką i zaczął wysiadać, ale z bólu zaparło mu dech. - Jakoś ostatnio zardzewiałem. Podobno za dużo podróżuję. Jak rodzina? - zapytał, by choć na moment zapomnieć o piekielnym bólu kręgosłupa. I jego przyczynie.

- Wszystko po staremu. Niech pan do nas zajrzy.

- Mam książki dla twoich dzieciaków. - Gideon sięgnął po bagaż, a ponieważ całe życie włóczył się z jednego krańca świata na drugi, brał tylko najpotrzebniejsze rzeczy. Tym razem lekka torba wydała mu się tak ciężka, jakby woził w niej kamienie.

- Lamparty? A one nie są niebezpieczne?

- Może i są, ale to będą młode sztuki, które ktoś przygarnął po śmierci lamparcicy. Dostarczą je do ośrodka, a pani tylko zawiąże im kokardki.

- Aha, to dobrze - mruknęła bez przekonania, wspominając ostre jak brzytwa pazury swojej kotki.

- Ślub odbędzie się w hotelu Leopard Tree. To niezwykle miejsce, idealne dla tych, którzy lubią podglądać dzikie zwierzęta. Czysty luksus w samym sercu natury. Powiem szczerze, że pani zazdroścę.

- No, rewelacja! - zawołała Josie, udając zachwyt.

- Co najważniejsze, zwierzęta można obserwować z własnego tarasu. Nie trzeba się tłuc rozklekotanym jeepem po bezdrożach. Niech pani sobie wyobrazi: leży pani we własnym basenie, popija szampana, a w dole kąpią się słonie.

- Rewelacja! - Josie bezbłędnie rozpoznała cytaty z katalogu biura podróży. Marji pewnie myśli, że funduje jej luksusowe wakacje, a prawda jest taka, że kiedy koła weselnej maszyny idą w ruch, nie ma czasu w głowę się podrapać, nie mówiąc już o podziwianiu widoków.

Relaks w przededniu ślubu to przywilej panny młodej, choć w tym przypadku nawet ona będzie musiała się napracować. Josie, jako odpowiedzialna za całość, będzie tyrała od świtu do nocy. Zwykle dzień przed imprezą spędzała w biurze z telefonem przyklejonym do ucha. Nauczona doświadczeniem wiedziała, że mimo skrupulatnych przygotowań wpadki są nieuniknione. W ostatniej chwili zawsze coś wyskoczy. W Londynie miała sztab ludzi do pomocy, w botswańskiej głuszy będzie zdana wyłącznie na siebie. A jeśli mały lampart zanadto się rozbryka? Tu groźne spojrzenie na pewno nie wystarczy.

No, chyba że „dzika i niczym nieskażona przyroda” to zwykły slogan reklamowy. A wzmianka o słoniach u wodopoju oznacza, że w pobliżu nie ma żadnego międzynarodowego lotniska. Skoro o lotnisku mowa...

- A jak my się tam dostaniemy? - zapytała, tknięta złym przecuciem.

- Wyczarterowaliśmy samoloty - uspokoiła ją Marji. - O to niech się pani nie martwi.

- Tak już mam, że martwię się o wszystko. - Łącznie ze słoniami i bałaganem, którego mogą narobić lamparciątka. - Dzięki temu śluby, które organizujemy, przebiegają bez zakłóceń.

- Ja myślę! Gdyby Sylvie nie cieszyła się taką renomą, do tej rozmowy by nie doszło. Ale o czym to ja mówiłam?

- O transporcie - podsunęła Josie, walcząc z narastającym zniecierpliwieniem.

- A, tak! Serafina miała jutro wysłać pierwszą partię rzeczy. Słyszała pani, co jej się przytrafiło?

Według oficjalnej wersji Serafina March, „designerka” uroczystości ślubnych dla śmietanki towarzyskiej - tytuł zwykłej „organizatorki” był oczywiście zbyt trywialny - i

samozwańcza „królowa ślubów”, niespodziewanie padła ofiarą wirusa. Dobrze poinformowane źródła utrzymywały, że sama panna młoda posłała ją do wszystkich diabłów.

- Prędzej wezmę ślub w urzędzie, ubrana w worek po kartoflach, niż pozwolę, żeby ta przemądrzała krowa patrzyła na mnie z góry i dyktowała mi, co mam robić - miała powiedzieć doprowadzona do ostateczności.

Josie, którą Serafina zawsze traktowała z wyższością, doskonale rozumiała tę frustrację.

- A jak ona się czuje? - zapytała z obowiązku.

- Powoli zdrowieje. Jaka szkoda, że nie będzie mogła uczestniczyć w uroczystości, w którą włożyła tyle pracy i serca - westchnęła Marji, po czym przeszła do konkretów. - Część gości wyruszy już jutro, ale państwo młodzi przyjadą dopiero pojutrze wieczorem, więc będzie pani miała dość czasu, żeby wszystko ogarnąć.

- Skoro wszystko jest załatwione, może też pojedę pojutrze? - Josie musiała w końcu sobie ulżyć.

- Lepiej dmuchać na zimne. Obie wiemy, że to nie będzie skromna uroczystość. Hotel nie jest duży, bo został pomyślany jako baza dla miłośników safari, więc na wszelki wypadek wynajęliśmy statek wycieczkowy z miejscami noclegowymi.

Odludzie, woda i dzikie zwierzęta - trzy słowa, które organizatora imprez przyprawiają o zimny dreszcz. Do tego „hotel baza”. Czyli koszmar. Co z tego, że ponoć luksusowy? Namiot to namiot, i basta.

- Proszę pamiętać, że najgorsza robota już została wykonana - podkreśliła Marji, nie doczekawszy się okrzyków wdzięczności.

Najgorsza? Chyba najciekawsza.

Planowanie. Projektowanie. Układanie menu, wybieranie muzyki, kompozycji kwiatowych, kolorów, strojów. Zakupy z panną młodą, szczęśliwą posiadaczką karty kredytowej nieobciążonej żadnym limitem.

- Do pani należy dopilnowanie, żeby wszystko przebiegło sprawnie - podsumowała Marji.

- Aha! - Josie czuła, że za chwilę zagotuje się z wściekłości.

Miała nadzieję, że impertynencka baba wreszcie wyczuła jej irytację. Nic z tego. Marji Hayes miała skórę grubszą niż nosorożec.

- Serafina nakreśliła idealny scenariusz, zadbała o każdy szczegół. Proszę trzymać się jej wytycznych, bo dla nas to gwarancja udanych sesji zdjęciowych.

- Ale mam się postarać, żeby państwo młodzi byli zadowoleni? - Josie chciała uświadomić nadętej redaktorce, że jej wojenki z konkurencją nie są najważniejsze.

- Państwo młodzi? A tak, naturalnie. Czasu mamy niewiele. Przyślę pani mejlem szczegóły dotyczące podróży oraz dokumentację do przejrzenia w samolocie.

Josie nie miała wątpliwości, że trafiła jej się życiowa szansa. Jednak w ciągu dziesięciu minut zleceńodawczyni obraziła ją tyle razy, że miarka się przebrała. Nie zamierzała dłużej udawać, że wszystko spływa po niej jak po kaczce.

- Przyznam, że czegoś tu nie rozumiem - zaczęła głosem anioła. - Skoro wszystko jest perfekcyjnie przygotowane, czemu daje mi pani to zlecenie? Dlaczego nie zajmą się tym pani ludzie? Albo, jeszcze lepiej, pani osobiście? W mgnieniu oka załatwi pani tę parę drobiazgów, a potem będzie pani mogła relaksować się w basenie.

I przy odrobinie szczęścia słodkie lamparciątka zeżrą cię na lunch, durna babo.

- Proszę mnie nie kusić! - krygowała się Marji. - Co ja bym dała, żeby tam pojechać! Ale ktoś musi pracować, żeby bawić mógł się ktoś. Mam tu mnóstwo pracy, poza tym takie rzeczy najlepiej powierzyć profesjonalistom.

Którzy nie strofują panny młodej.

- Obiecałam Crystal, że spełnimy jej marzenia.

Jej czy własne?

- Nie możemy sprawić jej zawodu - ciągnęła Marji. - Crystal jest bardzo wrażliwa. I jak każda panna młoda czuje treść. Chyba nie muszę mówić, że trzeba obchodzić się z nią delikatnie. Mam nadzieję, że będzie się dobrze czuła w pani towarzystwie.

Aha, teraz już obydwie są traktowane jak dzieci. Albo parweniuszki z etykietką „ona nie jest jedną z nas”.

- Rozumiem, że w najbliższym numerze napiszecie, że jestem odpowiedzialna za przebieg uroczystości? - rzekła Josie spokojnie, choć po raz setny miała ochotę krzyknąć: „wypchaj się z tym swoim ślubem”.

- To projekt Serafiny! - oburzyła się Marji.

- Naturalnie. Trzymajmy więc kciuki, żeby do jutra wyzdrowiała. Czeka ją długa podróż...

- Chętnie zamieścimy podziękowania za to, że zgodziła się pani ją zastąpić.

Obietnica nie była wiążąca, ale zaistniała szansa, że wieść pójdzie w świat. A na tym zależało Josie najbardziej. Poza tym w całej sprawie nie chodzi ani o nią, ani o Marji, ani nawet o „królową ślubów”. Sylvie wpoila jej fundamentalną zasadę, w myśl której żadna panna młoda, a zwłaszcza ta, która trafi na okładki kolorowych pism, nie może być pozostawiona samej sobie.

Musi mieć kogoś, kto w tym wielkim dniu będzie ją nieustannie wspierał.

- Proszę mi dostarczyć materiały. Zaraz prześlę umowę.

Drżącą ręką odłożyła słuchawkę.

- Emmo, wyślij standardową umowę do Marji Hayes z „Celebrity” - poprosiła asystentkę. - Przejmujemy ślub Tala Newmana z Crystal Blaze.

- „Celebrity”! - Emma z dzikim okrzykiem podrzuciła do góry notes i długopis. Jej radość sprawiła, że z Josie wyparowała cała złość na Marji Hayes. - Gdzie to będzie?

- Jeśli ci powiem, to potem będę musiała cię zabić.

- Dzień dobry! Jak pan się czuje? - powitał go Francis.

- Bywało lepiej - odpowiedział mu w języku tswana.

Gideon nie planował wizyty w Leopard Tree. Zboczył z drogi, burząc precyzyjnie ułożony plan podróży, którą rozpoczął od wizyty w bazie nurkowej nad Morzem Czerwonym. Stamtąd wzdłuż wybrzeża ruszył do Ramal Hamrah, by sprawdzić zaawansowanie prac przy budowie statku wycieczkowego, który zamówił u miejscowych fachowców. Skoro już był blisko pustyni, wybrał się na safari. Zwykle takie eskapady dodawały mu sił witalnych, tym razem było inaczej. Gdy chłodnym pustynnym świtem zziębnięty otworzył oczy i pomyślał o gehennie czekającej go na zatłoczonym lotnisku, zadał sobie pytanie: po kiego diabła ludzie tak się katują dla przyjemności? W przypadku faceta, który zbił majątek, sprzedając turystom dreszcz emocji, przygodę i marzenie o mitycznej krainie Shangri-La, takie czarne myśli nie wróżyły nic dobrego.

Faktycznie, coś z nim było nie tak, bo od pewnego czasu dokuczał mu ból kręgosłupa. Początkowo nie zwracał na to uwagi, ale w końcu zdał sobie sprawę, że męczy się z tym prawie rok. A zaczęło się w momencie, gdy postanowił sprzedać Leopard Tree.

- Fizycznie nic ci nie dolega - oznajmiła Connie, jego lekarka, prześwietliwszy go na wszystkie strony. - Powiedz, co cię gryzie?

- Nic - skłamał. - Czuję się jak młody bóg. - Istotnie miał powody do zadowolenia. Właśnie kupił ranczo w Patagonii, które miało być kolejną dużą inwestycją. - Zapraszam na wakacje w siodle.

Connie pokręciła głową.

- Z nas dwojga to nie ja potrzebuję wakacji, tylko ty - oznajmiła. - Ostrzegam, że jedziesz na pustym baku. - Co?! - Zwolnij! Zaczynaj żyć naprawdę.

- Popatrz, myślałem, że nic innego nie robię. Wiesz, mam propozycję. Zrób mi zastrzyk przeciwbólowy, bo zaraz mam samolot.

- Zdajesz sobie sprawę, że ulga będzie krótkotrwała? - westchnęła. - Prędzej czy później i tak będziesz musiał się zatrzymać i poszukać przyczyny swoich dolegliwości. Jeśli sam tego nie zrobisz, zmusi cię do tego twój kręgosłup. Spróbuj choć trochę odpocząć.

- Tak jest, pani doktor. Już się robi.

Może faktycznie trochę przesadził, śpiąc na pustyni w cienkim śpiworze. Doszedł do tego odkrywczego wniosku w drodze na lotnisko, chwilę po tym, jak ból zaatakował ze zdwojoną siłą. Mimo to nie zrezygnował z planów. Sześć spotkań i cztery loty później siedział na pokładzie awionetki podchodzącej do lądowania na piaszczystym pasie startowym, który dziesięć lat temu wykarczował w buszu.

Z samolotu ledwie wysiadł, zupełnie jakby jego organizm buntował się przeciw komendom wysyłanym przez mózg.

Niepotrzebnie tu przyjechał. Gdy tylko zorientował się, co się święci, powinien był lecieć do Gabarone. Tam jakiś lekarz bez ceregieli postawiłby go na nogi i mógłby kontynuować podróż do Ameryki Południowej. Skoro już był w Leopard Tree, postanowił wyleczyć się sam.

Naiwnie sądził, że wystarczy garść leków przeciwbólowych, gorący prysznic i spokojna noc w wygodnym łóżku. Skończyło się tak, że leżał unieruchomiony, zdany na łaskę medyka, którego sam zatrudnił. Ten zaś, po telefonicznej konsultacji z doktor Connie, odmówił podania zbawiennego zastrzyku. Nie dość, że mu nie pomógł, to jeszcze nagadał nawiedzonych bredni. Gideon nasłuchiwał się o tym, jak to jego organizm wysyła sygnały, prosząc go, by zwolnił, zaczął się oszczędzać. Powinien się zrelaksować, odstresować, a wtedy nastąpi samoleczenie. Ciało da mu znać, gdy znów będzie gotowe do aktywności.

Wszystko fajnie, tylko mądrała nie potrafił powiedzieć, kiedy to nastąpi.

Connie była bardziej dosadna:

- Przestań się miotać jak jakiś wariat!

Po to tu przyjechał, żeby trochę odpuścić. Wystawił hotel na sprzedaż i nawet trafiło się parę ciekawych ofert. Członkowie zarządu naciskali, by którąś przyjął, a uzyskane środki zainwestował w nowe przedsięwzięcia. Nie uległ presji. Leopard Tree było jego pierwszą inwestycją. Symbolem. Wiecznym bólem i niespełnieniem...

- Przyszły jakieś wiadomości? - zapytał Francisa.

- Tylko jedna. - Francis postawił tacę ze śniadaniem i wyjął z kieszeni kartkę. - To odpowiedź na pański mejl. Piszą, żeby się pan nie denerwował, bo Matt Benson poleciał za pana do Argentyny. Proszą, żeby zastosował się pan do zaleceń lekarzy i jak najwięcej odpoczywał. Tak długo, jak będzie trzeba.

Gideon cicho zaklął. Nie miał nic przeciwko Mattowi, który był porządnym i inteligentnym facetem. Jedyne, co mógł mu zarzucić, to że nie spędził ostatnich piętnastu lat na budowaniu globalnego imperium turystycznego oferującego ekstremalne wakacje klientom, którzy bez względu na wiek pragnęli wyzwania i emocji. Gideon z myślą o nich budował kameralne ośrodki z dala od utartych turystycznych szlaków, gdzie za odpowiednią opłatą mieli zapewnioną prywatność, luksus i niezapomniane wrażenia.

Matt Benson, choć zaangażowany, był jednym z wielu pracowników firmy. I jak każdy po pracy wracał do domu i prawdziwego życia. Do żony. Dzieci. Psa.

Gideon nie miał do kogo wracać. Nie miał nic prócz firmy, którą zbudował na fundamentach małego rodzinnego biznesu. Z czasem firma stała się całym jego życiem.

- Co jeszcze mogę dla pana zrobić? - zapytał Francis.

- Na przykład mnie stąd zabrać? - zapytał rozdrażniony, wodząc wzrokiem za awionetką lecącą wzdłuż rzeki.

Niepotrzebnie tu przyjechał. Wiele by dał, żeby znaleźć się na pokładzie tego samolotu. I znów być w drodze.

Na samą myśl o podróży nieznośny ból się nasilił. Nie lekceważył go, bo wiedział, że żarty się skończyły.

Po dwóch nocach w ośrodku był tak zmęczony i zirytowany bezczynnością, że miał wszystkiego serdecznie dość. Nałykał się proszków, wziął prysznic i twardo postanowił, że wyjeżdża. Choćby musiał czołgać się do recepcji, dotrze tam i każe wezwać powietrzną taksówkę.

Jak postanowił, tak zrobił. Ale nie uszedł daleko. Francis znalazł go uczeplonego barierki na kładce między drzewami; wprawdzie utrzymał się na nogach, ale nie mógł się ruszyć. Postawiony przed wyborem: szpital albo odpoczynek w Leopard Tree, gdzie przynajmniej miał względną kontrolę nad sytuacją, nie namyślał się długo.

Miejscowy konował mógł mieć trochę racji. W ostatnich latach Gideon rzeczywiście się nie oszczędzał. Nic się nie stanie, jak parę dni posiedzi w jednym miejscu.

- Ktoś przyjechał czy wyjechał?

- Przyjechał - odparł Francis. - Pani od ślubu. Będzie mieszkała obok pana. Podobno też jest z Londynu. Może się znacie?

- Niewykluczone. - Gideon już dawno rozumiał, że nie ma sensu tłumaczyć Francisowi pochodzącemu z małego miasteczka, że Londyn to wielomilionowa metropolia. - Pani od ślubu? - zdziwił się. - A kto tu bierze ślub?

- Proszę o dyskrecję, bo to tajemnica. Pan Tal Newman, bardzo sławny piłkarz, poślubi u nas swoją śliczną narzeczoną. Przyjedzie do nas mnóstwo sławnych ludzi. I zdjęcia będą w gazecie.

Zszokowany Gideon aż się poderwał, ale przeszywający ból osadził go w miejscu. Przerażony Francis chciał mu pomóc, ale odprawił go zdecydowanym gestem, po czym bezsilnie opadł na leżankę. Potem posłał wiązkę, nie wiadomo, czy szwankującemu krę-

gosłupowi, czy osobie, która bez jego wiedzy zgodziła się na imprezę dla celebrytów. Co było sprzeczne z filozofią jego firmy.

- Nalać panu herbaty? - zapytał Francis.
- Prosiłem o kawę - warknął.
- Ale doktor powiedział, że nie wolno...
- Wiem, co powiedział! Zero kofeiny, zero stresu.

Gideon zachęcał pracowników do aktywnego promowania ośrodków, jednak Leopard Tree było znane jako oaza spokoju w sercu dziewiczej przyrody. Medialny cyrk i hałaśliwy ślub to ostatnia rzecz, której życzyliby sobie hotelowi goście. Gideon również sobie nie życzył takich wątpliwych atrakcji. Wszędzie tylko nie tutaj...

Gdyby przemądry medyk miał pojęcie, jak stresuje go sama wzmianka o ślubie, od razu zakazałby organizowania takich imprez. Niestety, ograniczył się do zaordynowania beznadziejnej diety. I kazał odpoczywać.

- Przyślij mi tu Davida.
- Oczywiście.
- I znajdź mi jakąś gazetę.
- Samolot przywiózł nowy numer „Mmegi”. Zaraz panu przyniosę.

Gideon liczył raczej na „Financial Timesa”, ale takie gazety też pewnie są zakazane. Podejrzewał, że pod wieczór z nudów zacznie czytać etykiety. Póki co nie był aż tak zdesperowany.

- Nie ma pośpiechu, Francis.

ROZDZIAŁ DRUGI

„Luksusowe otoczenie sprawi państwu młodym dodatkową radość”.

Serafina March „Ślub doskonały”.

Mimo złych przeczuć Josie była pod wrażeniem. Z pokładu awionetki tonący w bujnej zieleni hotel był ledwie widoczny. Piaszczysty pas startowy, na którym wylądowali, wzniesając tumany kurzu, nie napawał otuchą. Na szczęście samochód terenowy z napędem na cztery koła obudził w Josie nieśmiałą nadzieję, że jednak nie jest na końcu świata.

Menedżer hotelu na nią czekał. Razem weszli do głównego budynku, otwartego z dwóch stron pawilonu, który w holu z jednej strony miał wielkie palenisko, z drugiej zaś jadalnię z bufetem, przy którym kręcili się hotelowi goście. Wszyscy bez wyjątku w strojach safari, obwieszeni drogim sprzętem elektronicznym.

- David Kebalakile - przedstawił się menedżer. - Witamy w Leopard Tree Lodge, panno Fowler. Miała pani dobrą podróż?

- Owszem, dziękuję. - Josie wołała nie wchodzić w szczegóły, bo chwilami bała się, że ta podróż nigdy się nie skończy. Ważne, że po dobie na pokładach trzech samolotów dotarła szczęśliwie do celu, cała i zdrowa.

- Schowajmy te kartony do biura. - David wskazał pudła z przeróżnymi weselnymi akcesoriami. „Parę drobiazgów”, jak to ujęła Marji Hayes, niespeszona faktem, że obciąża Josie dodatkowym bagażem. - Potem pokażę pani domek na drzewie, w którym będzie pani mieszkała.

Domek na drzewie? Dobrze, że nie namiot? Albo jeszcze gorzej? Z namiotu nie da się spać, myślała, idąc za Davidem krętą kładką zawieszoną trzy metry nad ziemią.

- Nigdy nie organizowaliśmy ślubów - przyznał David.

No, super. Jednym słowem obsługa nie ma doświadczenia w tej dziedzinie.

- Jesteśmy na miejscu. - David zatrzymał się u podnóża schodków wiodących na obszerny pomost umocowany między konarami drzew. - Proszę, pani pierwsza.

O mój Boże! Z pomostu roztaczał się cudowny widok na rozlewisko, a domek na drzewie miał zwijane z boku zasłony z płótna. David zademonstrował, jak to zrobić, tak by leżąc w olbrzymim łóżku z moskitierą, podziwiać wschód słońca. Pod warunkiem, że jest się spragnionym takich doznań.

- Zwierzęta najlepiej obserwować o zmierzchu i o świcie - tłumaczył - bo wtedy przychodzą do wodopoju. Ale tu zawsze coś się dzieje. O, proszę, teraz mamy tu słonie i rodzinę guźców.

Wyraźnie czekał, aż zapieje z zachwytu.

- Cudownie! - Jej entuzjazm nie był szczery, bo bardziej niż słonie interesowała ją łazienka.

- A lubi pani ptaki? Są ich tu setki... Przepraszam, jest pani zmęczona po podróży, a ja tu panią zanudzam.

- Nie ukrywam, że marzy mi się chłodny prysznic - przyznała, notując w myślach, że musi popracować nad mimiką twarzy. - I coś do jedzenia.

- Naturalnie. Mam nadzieję, że znajdzie pani trochę czasu, żeby popływać łódką albo pójść z przewodnikiem do buszu.

- Też mam taką nadzieję - odparła, by nie sprawić mu zawodu. Nigdy w życiu, dała w myślach.

Była typową dziewczyną z miasta i nie pociągało jej włóczenie się po buszu pełnym oślizgłych stworzeń włączających człowiekowi za koszulę.

- Zje pani w jadalni czy tutaj?

- Tutaj, jeśli można.

- Naturalnie. Życzę przyjemnego odpoczynku.

Bez przesady z tym odpoczynkiem. Najpierw praca, potem przyjemności.

- Na śniadanie wystarczy mi kawa i grzanki, a potem chciałabym przejść się po ośrodku.

- Oczywiście, jestem do dyspozycji. Jak będzie pani gotowa, proszę przyjść do recepcji. Gdyby pani czegoś potrzebowała, proszę dzwonić.

Kiedy odszedł, Josie zaczęła inspekcję. Domek na drzewie zrobił na niej jak najlepsze wrażenie - cena za dobę na pewno było uzasadniona. Było tu bowiem wszystko,

co zapewniało wygodny pobyt. Nawet niewielki basen, którym kusila ją Marji. Na podestach stały leżanki i wygodne posłanie pod dachem z suchej trzciny. Idealne dla zmęczonych nadmiarem wrażeń. Albo znudzonych spokojem poszukiwaczy wakacyjnych przygód.

- Ja Tarzan, ty Jane - mruknęła, ale musiała przyznać, że zachwyty naczelnej „Celebrity” był uzasadniony.

W takich plenerach sesja zdjęciowa musi się udać. Choć gdyby ktoś pytał ją o zadanie, powiedziałyby, że Leopard Tree jest lepszym miejscem na podróż poślubną niż na ślub. Czuła przez skórę, że w takim miejscu jak to mogą być kłopoty.

Koniec czarnowidztwa. O kłopotach będzie myślała, kiedy przyjdą. Dziesięć minut później, pachnąc ekskluzywnymi kosmetykami, które znalazła w łazience, i otulona śnieżnobiałym szlafrokiem, zaczęła szukać suszarki. A znalazła tylko małą pochodnię. Fajną, ale nieprzydatną. Kiedy brała prysznic, przyniesiono śniadanie, więc przestała się zżymać na brak podstawowych sprzętów i poszła wspomóc słabnące ciało solidną dawką kofeiny. David nie wziął poważnie jej minimalistycznej prośby, bo na tacy znalazły się również owoce, sok z pomarańczy i pachnąca, jeszcze ciepła jagodowa muffinka.

Josie postanowiła zjeść śniadanie na tarasie. Postawiła filiżankę na barierce i zaczęła przeczesywać włosy palcami, zadowolona, że może wysuszyć je na słońcu. Kiedy Sylvie przyjęła ją do pracy, jej punkowa fryzura szokowała paniusie typu Marji Hayes na równi z jej pochodzeniem. Była wtedy młodziutka i strasznie zakompleksiona, więc odlotowa fryzura, ciężkie martensy, ostry makijaż i kolczyk w nosie były zbroją, pod którą chroniła się przed światem. Wygląd był ostrzeżeniem: lepiej ze mną nie zadzieraj. Wysyłała je ludziom z eleganckich pensjonatów, restauracji i hoteli, do których tacy jak ona byli wpuszczani od zplecza.

W miarę jak poznawali ją ludzie z branży, stawała się coraz śmielsza. Przestała się srożyć, a zaczęła częściej uśmiechać, bo zrozumiała, że tak więcej zyska. Z czasem awangardowy wygląd stał się jej wizytówką. Zdaniem Sylvie wyglądała oryginalnie. Gdyby nagle coś zmieniła, ludzie poczuliby się dezorientowani.

Z czasem jej styl złagodniał. Nie nosiła już mocno postrzępionych pazurków, tylko dobrze ostrzyżoną półdługą fryzurę, która kosztowała krocie. Ćwiek w nosie zastąpiła

eleganckim ametystem, a kolczyki w kształcie żyletek pochodziły z ekskluzywnej kolekcji Zandry Rhodes, która dla stylu punk była tym, czym Coco Chanel dla świata biznesu. Co do makijażu, nadal malowała się odważnie, ale już nie wyglądała, jakby szła na Halloween.

Skoro o włosach mowa, postanowiła zapytać Davida o suszarkę. Jeśli się okaże, że nie jest to przeoczenie, będzie musiała go prosić, by suszarki sprowadzono. Sama poradzi sobie z pomocą szczotki i żelu, ale panna młoda, drużny i tłum celebrytów płci obojga nie przeżyją bez suszarek, prostownic i lokówek.

Przyniosła laptopa, ale szybko padła bateria. Zaczęła szukać gniazdka, ale nie znalazła. Telefonu też nie. Zirytowana wyciągnęła komórkę. Brak zasięgu...

Tknięta złym przeczuciem wróciła do środka i jeszcze raz obejrzała wszystkie kąty. I ją olśniło. Kiedy za pierwszym razem zauważyła grube świece w szklanych wazonach, myślała, że to dekoracja. Luksusowa łazienka z gorącą wodą uspiła jej czujność. Teraz pojęła, że świece to nie romantyczna ozdoba, ale jedyne źródło światła w domku bez prądu.

Dzicz. Zwierzęta. Spokój. Cisza. Powrót do natury.

Ależ była zadufana w sobie. Taka z siebie dumna, taka zachwycona, że sama Marji Hayes musi prosić ją o pomoc. I teraz spotyka ją kara.

W notatkach nie było słowa o braku prądu. O ile Marji Hayes mogła o tym nie wiedzieć, o tyle Serafina March na pewno nie przeoczyła takiej informacji. Szkoda, że zapomniała o tym wspomnieć. No nic, pomyślała Josie, trzeba będzie sobie z tym poradzić. Sięgnęła po sprawdzone narzędzia z czasów, gdy nie było komputerów, czyli długopis i notes, i grzejąc się w słońcu, zaczęła robić listę najpilniejszych spraw.

Niewątpliwie największym problemem będzie łączność, a konkretnie jej brak. Zamyślona, sięgnęła po grzanekę, nie podejrzewając, że nie tylko ona ma na nią chrapkę. Nagle coś zaszeleściło i rzuciło się na nią z dzikim wrzaskiem. Przerazona upuściła talerz i zaczęła piszczeć jak dziewczynka. Reakcja była idiotyczna, zwłaszcza że agresorem okazała się małpka, która chwyciła łup i zwinnie śmignęła na gałąź.

- Cholerna złodziejka! - krzyknęła, bezradnie patrząc, jak zwierzątko opycha się jej grzaneką.

Na szczęście kawa przetrwała atak. Josie podniosła filiżankę do ust i wtedy okazało się, że na jej kawę też są chętni.

- Pije pani kawę?

Tak się przestraszyła, że niechcący wylała ją na siebie. Klnąc pod nosem, spojrzała z wściekłością na sąsiedni domek, lewie widoczny pośród zieleni.

- Piłam! - burknęła, wycierając poparzone stopy.

- Przepraszam! Nie chciałem pani przestraszyć.

Głos był niski, nieco chropawy, bardzo męski.

- Kim pan jest? - zawołała, próbując coś dojrzeć między gałęziami. - I gdzie pan jest?

- Niżej!

Była pewna, że mężczyzna stoi na kładce i obserwuje rzekę, udając, że jest Davidem Attenborough. Dopiero gdy spojrzała w dół, dostrzegła zarys sylwetki wyciągniętej na leżance. W szczelinach między liśćmi widziała tylko fragmenty postaci: szczupłą stopę, brzeg nogawki na udzie, czarne włosy. Nagle gałęzie zakołysały się na wietrze i dojrzała wpatrzona w siebie oczy.

Mężczyzna przyglądał jej się tak uważnie, że poczuła się niekomfortowo. Ogarnął ją irracjonalny lęk, że kiedyś ktoś przejrzy ją na wylot i dowie się, z kim ma do czynienia. A wtedy wyjdzie na jaw, że nie dość, że jest zwykłą kuchcią udającą organizatorkę wesel, to jeszcze ma taką przeszłość, że nikt odpowiedzialny nie wpuściłby jej za próg.

- I co z tą kawą? - dopytywał nieznajomy.

Przełknęła ślinę. Odetchnęła głęboko. Idiotyzm... Jedyne Sylvie zna prawdę o niej. Nikt inny się nie dowie. Czego więc się boi? Wszystko przez zmęczenie i niewyspanie.

- Kawa smaczna, bardzo dziękuję - zawołała.

Mężczyzna się uśmiechnął, a z nią znów stało się coś dziwnego. Atak lęku minął, za to ogarnęła ją fala pożądania. I pomyśleć, że wystarczył jeden uśmiech... Teraz przestraszyła się nie na żarty. Co ja wyprawiam, pomyślała. Zamiast brać się do roboty, traci czas na pogaduszki z jakimś facetem. Szkoda, że biedak nie wie, że nie trafił na amatorkę wakacyjnych przygód.

Nie tylko zresztą wakacyjnych.

- Proszę zaczekać! - zawołał, kiedy wstała. - Może poczęstuje pani kawą człowieka w nieszczęściu?

- W nieszczęściu?

Nie wyglądał na dotkniętego nieszczęściem. Wręcz przeciwnie, sprawiał wrażenie człowieka, który w pełni kontroluje swój świat. I zawsze dostaje, czego chce. Spotykała takich facetów bez przerwy. Byli klientami jej firmy. Bogaci, wpływowi, nie zadowolają się byle czym. Chyba nie jest aż taką kretyką, żeby złapać się na tani chwyt jednego z nich?

- Dostałem jakieś ohydne ziółka - poskarżył się, wykorzystując jej wahanie.

- To chyba nic złego? Podobno rumianek skutecznie koi nerwy. Szczerze polecam.

- Skoro tak, chętnie się zamienię.

- Dziękuję, ale nie skorzystam! - zawołała, ale postanowiła się podzielić.

Całego dzbanka nie wypije, a facet jutro wyjedzie, bo raczej nie jest jednym z weselnym gości.

- Jeśli ma pan tak wielką ochotę na kawę, zapraszam. Proszę przyjść i się poczęstować.

- Problem w tym, że nie mogę. Chciałaby dusza do raju, ale oporne ciało nie pozwala. A konkretnie kręgosłup. Niech mi pani wierzy, doczołgałbym się do tej kawy po rozżarzonych węglach. Ale nie mogę, więc jestem zdany na pani łaskę.

- Coś panu dolega?

Co za głupie pytanie! Facet musi być poważnie chory, skoro nie może przejść paru kroków. W normalnym hotelu zadzwoniłby po obsługę, a tu?

- Chwileczkę, już do pana idę! - zawołała.

Domek był ulokowany na końcu kładki, najdalej od głównego budynku. Według planu - który dostała Josie, mieli tam zamieszkać państwo młodzi.

Czyli facet do jutra się wyniesie.

U podnóża schodów znalazła dzwonek. Potrząsnęła nim, by uprzedzić o swoim przybyciu.

- Już jestem! - Wyszła zza rogu i stanęła jak wryta.

Mężczyzna na leżance nie wyglądał na kontuzjowanego. W dodatku był przystojny. Miał ogorzałą skórę i na pewno nie była to opalenizna z salonu czy buteleczki. Zarost na policzkach dawno przeszedł modną fazę „dwudniową” i lada moment miał się zmienić w brodę.

Josie aż za dobrze pamiętała siłę jego uśmiechu, a przecież dzieliło ich wtedy dwadzieścia metrów zarośli. Nieznajomy wprawdzie już się nie uśmiechał, tylko lustrował ją wzrokiem. W dodatku tak, jakby wiedział, że pod szlafrokiem jest naga. Mimo woli spojrzała na jego usta i znów poczuła mrowienie w dole brzucha, nieomylny znak, że facet jest groźniejszy niż wszystkie tutejsze drapieżniki razem wzięte. Zwłaszcza dla nieostrożnych kobiet.

Josie zachowała zimną krew.

- Pogotowie kawowe, do usług. - Postawiła dzbanek i od razu chciała wracać do siebie.

Jeszcze dziesięć minut temu Gideon nie miał ochoty na towarzystwo, szczególnie kobiety, która niebawem każe jakiemuś nieszczęśnikowi podpisać cyrograf. A jeśli łaskawie zgodzi się zwrócić mu wolność, to w zamian za połowę jego majątku. Gideon pewnie nadal cieszyłby się samotnością, gdyby nie zapach świeżo parzonej kawy. Może by się mu oparł, ale jak na złość zauważył intrygującą kobietę, która suszyła w słońcu włosy. Francis mówił, że panna młoda nazywa się Crystal Blaize. To imię pasuje do seksownych blondynek, w których gustują mężczyźni ceniący walory kobiecego ciała wyżej niż intelekt. Gideon też nie był obojętny na kobiece wdzięki, ale...

Kobieta, którą z takim zainteresowaniem obserwował, nie była blondynką i pod wieloma względami wymykała się stereotypom. Nie dość, że włosy miała czarne jak skrzydło kruk, to jeszcze ozdobiła je fioletowymi pasemkami. Jej twarz miała ostre i zdecydowane rysy, złagodzone przez wyjątkowo duże oczy. Gideon nie potrafił powiedzieć, czy jest zgrabna, bo w ocenie przeszkadzał szlafrok, ale na pewno była bardzo szczupła. A jej kształty raczej nie były dziełem chirurga plastyka.

Nieznajoma całkowicie odbiegła od jego wyobrażeń i to pobudziło jego zainteresowanie. W każdym razie zapomniał o bólu krzyża. A to dopiero początek, bo kobieta widziana z bliska wydała mu się jeszcze ciekawsza. Prosto spod prysznic, bez makijażu,

z wilgotnymi włosami, których nawet nie uczesała, bez seksownych ubrań i szpilek, wyglądała tak, że aż mu dech zaparło.

- Jest pani aniołem, panno Blaize.

- Nic podobnego.

Musiała mocno pracować, by pozbyć się akcentu klasy niższej, ale wyczułone ucho, a Gideon takie miał, potrafiło wychwycić jego ślady.

- Myli się pan, i to podwójnie. Przykro mi pana rozczarować, ale ma pan do czynienia z pospolitą Josie Fowler.

Więc to nie jest panna młoda? Dlaczego nazywa siebie „pospolitą”, skoro taka nie jest? Jego matka powiedziała by o niej „frapująca”. Gideon dopiero teraz zwrócił uwagę na niespotykany, ciemnofioletowy kolor jej oczu.

- Skąd pomyśl, że jestem rozczarowany, pani Pospolita? - Zignorował uczucie ulgi, że nie rozmawia z Crystal Blaize. Właściwie nie powinno go obchodzić, kim ona jest. Zależy mu na kawie, nie na niej. - Poprosiłem, żeby poczęstowała mnie pani kawą i oto stoi pani przede mną z dzbankiem w ręce. Dla mnie pani jest aniołem.

- Tak łatwo pana zadowolić?

Wręcz przeciwnie. Większość kobiet twierdziła, że jest to absolutnie niemożliwe - albo że Gideon jest niemożliwy. Mniejsza o to. Akurat teraz miał ochotę z kimś pogadać. A że wybredny nie jest, ujdzie nawet wielkooki strach na wróble o fioletowych włosach.

- Gideon McGrath - przedstawił się i wyciągnął rękę.

Po chwili wahania podała mu dłoń. Zbyt dużą, by nazwać ją kobiecą rączką, ale mocną i pewną. Zdecydowany uścisk zdradzał, że ma się do czynienia z osobą naturalną (nie licząc barwionych szkieł kontaktowych, bo nikt nie rodzi się z takim kolorem oczu).

- Proszę wybaczyć, że nie wstaję, ale gdybym to zrobił, musiałaby mnie pani podnosić.

- Więc niech pan nie próbuje. Wystarczy, że jedno z nas ma problemy z kręgosłupem. Życzę zdrowia.

- Czy mogłaby pani podać mi filiżankę? Sam sobie nie poradzę - skłamał, bo nie chciał, by odchodziła.

- Straszny pech z tym pana kręgosłupem. Zwłaszcza na wakacjach. A swoją drogą, dlaczego pan pomyślał, że Crystal Blaize to ja?

- Ktoś z obsługi powiedział „pani od ślubu”. Rozumiem, że chodzi o panią? - Ciekawiło go, kim jest. Przedstawicielką medialnego cyrku ciągnącego za celebrytami?

- Rozumiem. Mleko, cukier? - Zignorowała jego pytanie. - A właściwie mleko czy mleko, bo cukru nie widzę. - Westchnęła zrezygnowana. - Zapewniano mnie, że ten hotel to szczyt luksusu. Rzeczywiście jest efektowny...

- Ale?

- W łazience nie ma suszarki, pan nie dostał cukru. Nawet nie ma jak zadzwonić do recepcji, żeby o tym powiedzieć. A menedżer mówił, żebym dzwoniła, jeśli będę czegoś potrzebowała. Aha, i nie ma tu zasięgu.

- I tak zostanie. Leopard Tree Lodge jest azylem, ucieczką od nowoczesności - tłumaczył, choć dopiero co sam się zżymał na brak podstawowych udogodnień.

Bez suszarki mógł żyć, ale telefon komórkowy bardzo by mu się przydał. Zadzwończyłby do firmy, by się upewnić, że pomysł ze ślubem to jednorazowy wyskok, a nie stała oferta. Ale dostępu do telefonu nie ma, bo... sam tak zdecydował, więc nie mógł mieć do nikogo pretensji.

Oczywiście hotel nie był pozbawiony łączności ze światem. „Pani Pospolita” będzie mogła korzystać z telefonu satelitarnego pod warunkiem, że... Jeszcze nie wiedział, jak rozegra tę sytuację, ale jeśli wykaże się sprytem, dostanie od Josie znacznie więcej niż tylko kawę.

- W domkach nie ma prądu. Jedyne źródło energii to baterie słoneczne, które grzeją wodę - wyjaśnił.

- Domyśliłam się. Ucieczka od cywilizacji i temu podobne bzdety. Tyle że ja przyjechałam tu służbowo. Gdybym była na tyle stuknięta, żeby spędzić tu wakacje, pewnie padłabym z zachwyty.

- Nie podoba się pani ten hotel?

- Podobałoby mi się o wiele bardziej, gdyby stał nad spokojną zatoką, tuż przy jednej ze złocistych plaż, na których lubią się wygrzewać moi tego świata.

- Tu się odpoczywa, nie pracuje. - Dotknęła go jej krytyka, bo włożył całe serce w budowę hoteli i ośrodków wypoczynkowych. Wiele z nich spełniało jej oczekiwania. Leopard Tree było miejscem wyjątkowym... Może dlatego, że pierwszym, które stworzył od podstaw. Kochał je tak samo mocno, jak nienawidził. Ale jemu wolno.

- Rozumiem, że ludzie szukają tu wytchnienia, ale ja przez najbliższe dni będę pracowała całą dobę.

- Boli panią? - zapytał, widząc że masuje kark.

- Trochę. Myśli pan, że to zaraźliwe?

- O ile wiem, nie.

- Dlaczego zamiast kawy dostał pan zioła, za to nie dostał pan cukru?

- To sekret - skłamał. - Może mrówki włamały się do spiżarni?

- Mrówki?

- Gigantyczne! - Pokazał palcami ich rozmiar.

- Pan żartuje?!

Nie potwierdził ani nie zaprzeczył. Mrówki rzeczywiście były spore, ale nie mogły dostać się do magazynu z żywnością. Ale po co mówić to sympatycznej pani, której nie podoba się jego hotel. I która przyjechała tylko po to, by zakłócić spokój tego miejsca. Gideon od początku postawił sobie za cel ratowanie dziewiczych zakątków globu przed cywilizacyjnym śmieciem. Również przed hałasem, a śluby i wesela to wyjątkowo uciążliwe imprezy.

Kolorowy magazyn sponsorujący tę szopkę z pewnością obwarował umowę tysiącem zastrzeżeń. Jeśli przebieg uroczystości zostałby zakłócony, prawnicy od razu pozwoliby Gideona do sądu. A to małe piwo w porównaniu z wnioskami o odszkodowanie za straty moralne poniesione przez pannę młodą, pana młodego, drużny i drużbów oraz wszystkich krewnych i znajomych Królika.

Ślub pary snobów jest ziem koniecznym i trzeba się z tym pogodzić. Ale co komu szkodzi podręczyć trochę tę lalunię, która, jak się domyślił, jest odpowiedzialna za organizację całego tego zamieszania.

ROZDZIAŁ TRZECI

„Dzień ślubu należy spędzać w gronie bliskich oraz przyjaciół”.

Serafina March „Ślub doskonały”.

„Pani od ślubu” zachowała się niestereotypowo.

Słyszając o mrówkach gigantach, wcale nie zaczęła piszczeć, tylko pokręciła głową, jakby chciała powiedzieć: „jest gorzej, niż myślałam”. Po czym wyciągnęła notes i skrupulatnie coś zapisała.

- O, widzę, że jest miód. - Wskazała mały słoiczek. - Mój partner twierdzi, że miód, prócz tego że zdrowy, nadaje kawie wyjątkowy smak.

- Pani partner? - Wydawało mu się, że jest sama, ale może kogoś przeoczył. - Jest tu z panią?

- Przepraszam, nie partner, tylko partnerka. A właściwie współniczka. Niestety, nie przyjechała tu ze mną, bo zatrzymały ją ważne sprawy. - Uśmiechnęła się, dzięki czemu jej twarz pojaśniała. Gideon nie zaryzykowałby twierdzenia, że wypiękniała, bo miała zbyt nieregularne rysy, ale zaszła w niej taka przemiana, że chętnie zobaczyłby ją taką jeszcze raz.

- Sylvie i tak by nie przyjechała. Śluby i wesela to moja działka - wyjaśniła. - Wspólnie prowadzimy firmę organizującą imprezy.

- Domyśliłem się. Kiedy Francis powiedział „pani od ślubu”, pomyślałem, że chodzi o pannę młodą.

- Nigdy w życiu! Ja jestem od czarnej roboty. Proszę. - Podała mu kawę. - Może być?

- Niech pani zostanie - poprosił, widząc, że zamierza odejść. - Proszę siadać. - Wskazał sąsiednią leżankę.

- Pan zawsze zaprasza, jakby wydawał polecenie?

- Przeciwnie. Wydaję polecenia, jakbym zapraszał - odparował. Chyba wyszedł z formy, bo nie pamiętał, kiedy ostatnio musiał ciężko walczyć o zainteresowanie kobiety. Co by tu wymyślić, żeby ją zatrzymać? - Łatwizna?

- Słucham?

- Czy łatwo zorganizować tu ślub?

- To nigdy i nigdzie nie jest łatwe. - Uśmiechnęła się i przycupnęła na skraju leżanki, gotowa w każdej chwili zerwać się i ruszyć na podbój świata. - Tutaj będzie po-dwójnie ciężko.

- Zaraz, zaraz! Przecież pani to wymyśliła!

- Też pan uważa, że to poroniony pomysł? - zapytała, bynajmniej nie dotknięta krytyką.

Wzruszył ramionami, ale od razu tego pożałował, bo z bólu aż mu pociemniało w oczach.

- Dobrze się pan czuje? - Zaniepokojona położyła dłoń na jego ramieniu.

Nie. Nie czuł się dobrze. Prawdę mówiąc, czuł się beznadziejnie. Pochyliła się nad nim, a on skwapliwie wykorzystał fakt, że rozsunęły się poły szlafroka. Piersi miała nie-duże, ale jędrne i kuszące. Przede wszystkim naturalne. Gideon poczuł jednocześnie ból i rozkosz.

- Śluby celebrytów nie pasują do charakteru tego miejsca - stwierdził, podnosząc wzrok.

Kobieta była tak blisko, że widział delikatny puszek na mlecznobiałej gładkiej skórze. I cienką bliznę biegnącą wzdłuż szczęki. Takie defekty są zwykle ukrywane pod makijażem, ale Josie, ruszając z misją miłosierdzia, nie traciła czasu na upiększające za-biegi.

Zero makijażu. Żadnych markowych ciuchów. Nie miała na sobie rynsztunku, pod którym kobiety kryją swe prawdziwe ja. Sprawiała przez to wrażenie obnażonej bardziej, niż gdyby zrzuciła z siebie szlafrok. Gideon miał wielką ochotę przesunąć palcem po bliźnie, by symbolicznie zmasać wspomnienie o bólu, którego kiedyś doświadczyła.

- A pomyślała pani o pozostałych gościach? O ludziach, którzy przyjeżdżają tu, żeby w spokoju obserwować zwierzęta? - zapytał ostro. Taki ton był niepotrzebny, więc dodał łagodniej: - Z ich potrzebami też trzeba się liczyć.

- W czasie ślubu nie będzie tu innych gości - wyjaśniła, cofając dłoń z jego ramie-nia. - Wynajęliśmy cały ośrodek, więc nie będziemy nikogo niepokoić.

- Jedynie zwierzęta. Zarezerwowaliście wszystkie pokoje?

- Owszem.

- Hm, to ma pani problem, bo ja się nie ruszę.

- To będzie pan musiał biwakować w buszu, bo w tym domku na pewno pan nie zostanie.

Gideon nie zamierzał dyskutować. Wkrótce sama się przekona, że on jest nie do ruszenia.

- Wytargowaliście duży upust za wynajęcie całości?

- Upust? - zdumiała się. - Moim klientom nie zależy na zniżkach. Ale nie wiem, nie ja negocjowałam warunki finansowe. Przejęłam tę imprezę w ostatniej chwili, bo pierwsza organizatorka musiała się wycofać. Zresztą te kwestie nie powinny pana interesować.

- A gdyby to pani wybierała miejsce, zdecydowałaby się pani na ten ośrodek?

- Wybór miejsca to domena panny młodej - odparła - ale odradzałabym jej ten hotel. Co prawda wygląda pięknie, więc wyjdą rewelacyjne zdjęcia... Nie mam pojęcia, ile „Celebrity” zapłaciło właścicielom, ale nawet jeśli zeszli z ceny, nie będą żałować. Z punktu widzenia PR to strzał w dziesiątkę. Przez sześć tygodni będą mieli darmową reklamę w największym brytyjskim magazynie lifestylowym.

Gideon nie mógł się z tym nie zgodzić. Pracownik, który załatwił ten kontrakt, wykonał świetną robotę. Ale się tym nie pochwalił i nie poprosił o premię, bo wiedział, że Gideon nie będzie zachwycony.

- Co pani ma przeciwko temu ośrodkowi?

- Wiem, że w czasie ślubów zawsze zdarzają się problemy. Wolę nie myśleć, jak będzie wyglądała podróż. Państwo młodzi, ponad setka gości, fotografowie, dziennikarz, fryzjerzy, styliści i diabli wiedzą, kto jeszcze, plus bagaż, muszą pokonać sześć tysięcy mil. Całe to towarzystwo będzie leciało trzema samolotami, z których ostatni jest tak mały, że ledwie zmieści się do niego suknia panny młodej.

- Przesadza pani.

- Ale tylko trochę.

- A co z protestami ekologów? Samoloty nie latają na wodę. Ile dwutlenku węgla wyleci do atmosfery tylko po to, żeby dwoje ludzi powiedziało sobie tak?!

- Więc powinni się pobrać w wiejskim kościółku?

- Czemu nie?

- A pan jak się tu dostał? Balonem?

- Chciałbym, ale to niemożliwe.

- Właśnie! A tym dwutlenkiem węgla proszę się nie martwić. Piarowcy Tala Newmana zadbali o wszystko. W ramach rekompensaty Tal sfinansuje sadzenie lasu.

- Ciekawe, gdzie?

- Nie mam pojęcia.

- Mówiła pani, że to panna młoda wybiera miejsce.

- To prawda, ale ten ślub to wydarzenie medialne, więc musi mieć specjalną oprawę. Crystal podobno lubi zwierzęta, więc powinna być zadowolona.

- No nie! - prychnął. - Tu zwierzęta są dzikie i groźne, szczególnie te o pięknych futrach. Skoro ta pani tak lubi zwierzęta, trzeba było zorganizować jej ślub w zoo.

- Też tak uważam - przyznała - ale nie mogę tego głośno powiedzieć. Ale pomysł wart jest uwagi. - Znów coś zanotowała.

Roześmiał się, i ból znowu się odezwał.

Josie opanowała opiekuńczy odruch i nie dotknęła go, za co był jej wdzięczny. Nie lubił, gdy w jego relacje z ludźmi wkradały się emocje. Wolał proste związki oparte na fizycznej fascynacji. Tu reguły gry były jasne dla obu stron. Gdy pojawiała się uczucie, sytuacja wymykała się spod kontroli. A tego nie lubił.

- Pani nie wierzy w całą tę romantyczną otoczkę, którą pani tworzy? - domyślił się.

- Zapewnia pani swoim klientom kwiatki, wzruszenia i fajerwerki, ale podchodzi pani do tego cynicznie.

- Tym razem będą tylko kwiatki i wzruszenia, bo fajerwerki są tu zakazane.

- Co za ulga! Trudno przewidzieć, w którą stronę pobiegnie wystraszony słoń.

- Wolę o tym nie myśleć. I pan też niech się nie martwi, bo jutro już tu pana nie będzie. Jak kawa?

- Kawa? Tak się z panią zagadałem, że nie wiem, kiedy ją wypilem. Dostanę jeszcze? Obiecuję, że będę się koncentrował na tym, co robię.

Bez słowa napelniła filiżankę.

- Tyle?

- Tyle. - Nie wytrzymał i jeszcze raz zerknął w jej dekolt. I na bliznę. Ciekawe, po czym to pamiątka?

- A co się panu stało w plecy? Zderzył się pan z rozpędzonym słoniem czy uprawiał zapasy z aligatorem?

- Jesteśmy w Afryce, proszę pani, tu są krokodyle, nie aligatory. - Pił kawę bez pośpiechu, ciesząc się chwilą. - Do krokodyli nie wolno się uśmiechać.

- Słucham?

- Nie zna pani tej piosenki? - Zanucił melodię, potem zaśpiewał parę wersów.

Skąd mu to nagle przyszło do głowy?

- „Piotruś Pan” - odgadła. - Nigdy bym nie pomyślała, że lubi pan tę książkę.

Wzruszył ramionami. O dziwo, ból zelżał. Może lekarze mają rację? Powinien trochę odpuścić i nauczyć się trwonić czas na rozmowę z kimś, kto niczego od niego nie chce. Poza jego domkiem.

Faktycznie musi być niezła w tym, co robi, skoro taki gwiazdor jak Tal Newman powierzył jej organizację ślubu. Ktoś taki jak ona z zawodowego obowiązku umie dogadać się z każdym. Ludzie muszą czuć się przy niej swobodnie. Spośród kobiet, które poznawał, każda miała swój plan. Z reguły robiły wszystko, by go przy sobie zatrzymać. A niejaka Josie Fowler kombinuje, jak się go pozbyć.

Godzinę temu z chęcią spełniłby jej marzenia, ale na myśl o wyjeździe dostawał ataku bólu. „Pani od ślubu” nie była ślicznotką, a już na pewno nie przypominała seksownych lasek, z którymi umawiał się w wolnych chwilach. A że tych chwil było niewiele, żadna z owych znajomości nie trwała dłużej niż miesiąc, góra dwa.

- Mój ojciec udzielał się w teatrze amatorskim i co roku przed Gwiazdką wystawiał przedstawienie dla dzieci.

- To miał pan niezłą zabawę. - Zorientował się, że Josie zmusza się do uśmiechu. - Grał pan Piotrusia czy kapitana Hooka?

- Hooka grał ojciec. - Wyczuł, że sama obsadziłaby go w roli szwarccharakteru. - Nie występowałem w tych przedstawieniach. - Jeden artysta w rodzinie wystarczy, dodał w myślach.

- Ale co z tym pana kręgosłupem? Czy mimo przestróg uśmiechnął się pan do krokodyla?

- Powód jest bardziej prozaiczny. Atak złapał mnie wczoraj, tuż przed wyjazdem. Jak pani widzi, nie mogę się ruszać. Muszę poczekać, aż samo przejdzie. - Rozwiął jej nadzieje, że się go szybko pozbędzie.

- To pewnie straszny ból. Badał pana lekarz?

Dobre pytanie. I logiczne, skoro będzie odpowiedzialna za zdrowie i dobre samopoczucie ponad setki osób. Jeśli komuś coś się stanie - a na weselach o przygodę nie trudno - musi wiedzieć, gdzie szukać pomocy.

- Tak, wczoraj, ale niewiele pomógł. Kazał odpoczywać. Podobno mój organizm daje znak, żebym zwolnił. - Zrobił palcami cudzysłów.

Nie chciał, by pomyślała, że wierzy w takie brednie.

- Czyli pana choroba ma podłoże psychiczne? - powiedziała tonem, jakby nie pierwszy raz zetknęła się z takim przypadkiem.

- Tak twierdzą lekarze.

- Mój ojczym cierpiał na podobną dolegliwość. Wystarczyło wspomnieć, żeby wreszcie znalazł pracę, i od razu łamało go w krzyżu. - Powiedziała to niedbale, dając do zrozumienia, że nie obchodzi jej ojczym, ten patentowany leń. Jednak nieświadomie zdradziła, że wspomnienie o nim tkwi w niej jak zadra. - Oczywiście nie mówię, że pan udaje - zaznaczyła, lekko czerwieniejąc.

- Bo nie udaję. Wręcz przeciwnie. Wcale mnie nie cieszy, że tu utknąłem, bo powinienem być teraz tysiące mil stąd i negocjować ważny kontrakt.

- Chyba rozumiem, co pan czuje. Najgorszy jest brak łączności. Zawsze na dzień przed imprezą wiszę na telefonie. Ciekawe, co zrobię, jak tu nagle coś wyskoczy.

- Potrzeba jest matką wynalazku - rzucił sentencjonalnie. - Zwłaszcza z dala od cywilizacji.

- A nawet w samym jej sercu, jeśli pracuje się w moim fachu. Na pewno będzie ciekawie. - Spojrzenie fiołkowych oczu sugerowało, że uważa go za swój największy problem. - A masaż by panu nie pomógł?

- To propozycja?

Do tej pory uważała, że wokół panuje niezmacona cisza. Błąd. Co prawda nie było tu zgiełku londyńskiej ulicy, ale powietrze aż wibrowało od dźwięków. Bzyczały owady, śpiewały ptaki, małpy wydzierały się wniebogłosy. Niespodziewanie nasza ją ochota, by się położyć, nasycić tą przedziwną muzyką, pozwolić, by słońce przeniknęło ją na wskroś. Z zamyślenia wyrwał ją przenikliwy pisk jakiegoś ptaka. Wróciła z obłoków na ziemię i z zaskoczeniem odkryła, że wzrok Gideona błąka się tam, gdzie nie powinien. Typowy facet...

- Kawa to jedyne, co mogę zaproponować. - Wstała i mocniej zawiązała szlafrok.

- Szkoda. - Jego leniwy uśmiech miał hipnotyzującą moc.

- Zostawić panu dzbanek?

- Nie, bo obsługa nie będzie mogła się doliczyć.

- Żaden problem. Powiem, że jest u pana. - Była wściekła, że pozwalała się czarować uwodzicielskim czarnym oczom. I jak idiotka daje się wciągnąć w bezsensowne gry.

- Proszę nie sprawiać sobie kłopotu. Ma pani tyle rzeczy do zrobienia.

- Już mówiłam, że to żaden problem - odparła, idąc w stronę schodków. - I tak wybieram się do kuchni, więc przy okazji wspomnę, że przez pomyłkę przynieśli panu zioła zamiast kawy.

- Niech pani tego nie robi!

Zaskoczył ją tą reakcją. Czyżby czegoś nie zrozumiała?

- Ta herbata to nie była pomyłka - przyznał się.

- Nie? - Przystanęła, zbита z tropu. I nagle ją olśniło. - A więc to tak?! - Podbiegła do stolika, chwyciła dzbanek i oskarżycielsko podsunęła mu pod nos. - Nie wolno panu pić kawy, tak?

- Trafiony, zatopiony - przyznał bez skruchy.

- Trafiona to jestem ja! Wbrew zakazowi lekarzy dostarczyłam panu kofeinę! Nie, niech pan mnie nie przeprasza. Przecież widzę, że pan w ogóle nie żałuje swojego postępu.

- Wcale nie zamierzam przepraszać, tylko dziękować. Wszyscy mi każą wsłuchiwać się w mój organizm.

A on tak głośno domaga się kawy, że aż dziw, że nikt nie usłyszał.

- Tylko ja się dałam podejść.

- I za to jestem pani głęboko wdzięczny. Przyznaję, wykorzystałem panią.

- Jak pierwszą naiwną - prychnęła.

- Proszę tak o sobie nie mówić!

- Cukru też panu nie wolno?

- Przecież cukru pani mi nie dała.

- Ale mało brakowało! Co jeszcze jest zabronione?

- Białe pieczywo, czerwone mięso, sól, tłuszcz zwierzęcy. - Dotąd z premedytacją ignorował zakazy, teraz, odkąd leżał jak kłoda zdany na łaskę innych, nie miał nic do gadania.

- Jednym słowem same niezdrowe produkty - podsumowała.

- Podobno. Poza tym powinienem chodzić pieszo do pracy - kto ma na to czas! - i regularnie jeździć na urlop.

Pół życia spędził w ośrodkach wypoczynkowych, skąd więc kretyński pomysł, że chciałby tam jechać dla przyjemności? Jego lekarka zaleciła mu jeszcze jedną istotną rzecz. Małżeństwo. Według najnowszych badań żonaci żyją dłużej. Pani doktor, jako kobieta, lubiła to powtarzać. Ale nie zamierzał jej słuchać.

- Wakacje raczej panu nie służą - zauważyła Josie.

- Dieta tym bardziej. Moje życie zostało zredukowane do ryby na parze, kotletów sojowych i owsianki. - Po cichu liczył, że obudzi w niej współczucie. Podejrzewał, że ma miękkie serce. Ledwie syknął z bólu, dotknęła jego ramienia. Jak ją ładnie poprosi, może spełni jego marzenie o masażu? Na razie nic z tego. Niepotrzebnie dał się przyłapać, jak gapi się na jej biust.

- Czyli gigantyczne mrówki mogę wykreślić z listy problemów? - mruknęła, obojętna na jego skargi.

- Jeśli powiem „tak”, zje pani ze mną lunch?

- Żeby mógł pan podjadać zakazane rzeczy z mojego talerza?

- Ja? Przecież jestem kompletnie bezradny! Jeśli pani wepchnie mi je na siłę, nawet się nie obronię.

- Bez obawy. Nic panu z mojej strony nie grozi - odparła, z trudem hamując śmiech.

- Może jednak? Obiecuję, że nie będzie pani żałować!

- Niech pan da spokój! Mnie nie można przekupić.

Oczywiście, że można. Jak każdego. Wszyscy mają jakieś pragnienia, grunt to je poznać.

- Proszę się dobrze zastanowić. Będzie pani potrzebowała bratniej duszy, żeby odreagować frustracje związane ze ślubem. - Fakt, że sam będzie ich główną przyczyną, nie znaczy, że nie nadaje się na pocieszyciela. - Z największą przyjemnością udostępnię ramię, na którym będzie pani mogła się wyplakać.

- Chcę od pana tylko jednego: żeby zwolnił pan domek. Poza tym powinien pan unikać stresu.

- To pani będzie się stresowała, nie ja.

- Doceniam troskę, ale jest zbędna, bo „SDS Events” nie organizuje nieudanych ślubów.

- Zrozumiałem, że nie pani go zaplanowała. A jeśli coś nie wyjdzie?

- To pana już tu nie będzie.

- O tym zdecyduje mój kręgosłup.

- Myli się pan. Muszę pana zdenerwować, choć wiem, że to niewskazane, ale jeśli nie znajdzie pan innego lokum, wystąpi pan w charakterze przyzwoitki.

- To domek państwa młodych?

- Jutro o tej porze będzie tonął w kwiatach.

Roześmiał się, ignorując ból. Co tam ból, skoro popsuł weselne szyki. I nawet nie musiał nigdzie dzwonić.

- Cieszę się, że pan się dobrze bawi. Mówią, że śmiech to zdrowie. A ono będzie panu potrzebne, bo jutro z samego rana musi pan stąd zniknąć. Może kąpiel w basenie panu pomoże? Woda skutecznie rozluźnia mięśnie.

- Chętnie bym popływał, ale bez pomocy nie dam rady.

- Z przyjemnością pana tam wepchnę.

- A pomoże mi pani potem wyjść?

- Niestety, obowiązki wzywają. Życzę miłego dnia. Mam nadzieję, że zasmakuje pan w ziółkach i soi.

- Podobają mi się pani pomysły. Szkoda, że nie dotrzymuje pani obietnicy.

- Niech mnie pan nie prowokuje.

- Jest coś, co mogę pani dać! - zawołał, gdy energicznie obróciła się na pięcie, błyskając szczupłym udem.

- Swoje łóżko?

- Łączność ze światem. Ale pod jednym warunkiem - zastrzegł. - Wykona pani za mnie jeden telefon.

- Do małżonki, żeby poinformować, że wraca pan następnym samolotem?

- Tak się składa, że nikt nie czeka na mój powrót. Chciałbym, żeby zadzwoniła pani do mojego biura. Proszę podać mi notes, zapiszę numer.

Chwilę się wahała, ale pokusa nawiązania kontaktu z cywilizacją zwyciężyła.

Gideon otworzył go na stronie, gdzie robiła notatki.

Suszarki do włosów? Zadzwonić... Jak????

Telefon? Florystka. Catering. Uśmiechnął się i obok słowa: „zadzwonić” zapisał numer.

- Proszę skontaktować się z Carłą, to moja asystentka.

- I co mam jej powiedzieć?

- Niech ją pani zapyta, co do jasnej cholery dzieje się w marketingu.

- Co do jasnej cholery dzieje się w marketingu - powtórzyła jak echo. - Nie dziwię się, że jest pan zestresowany. Ma pan wakacje. Po co pan myśli o pracy?

- Wakacje to moja praca - wyjaśnił. - A wracając do łączności, wiem, że David ma telefon satelitarny i dostęp do internetu. Trzyma to w ścisłej tajemnicy przed gośćmi, ale dla pani zrobi wyjątek.

- Ty... - W tym miejscu użyła słowa, które nie figuruje w słowniku organizatorek ślubów. - Znowu mnie wrobiłeś!

- Pamiętaj, będziesz potrzebowała mojej pomocy!

- Więc mi pomóż i znikaj!

Pozwolił jej mieć ostatnie słowo, a sam rozkoszował się widokiem zgrabnej pupy i szczupłych kostek, gdy maszerowała do schodków.

- Josie, nie przywiozłaś z Londynu jakiejś gazety? Podziel się, bo umrę z nudów.

- Nie czytam gazet! To za duży stres - odkrzyknęła, znikając w zielonej gęstwinie.

- Kłamczucha! - krzyknął i energicznie szarpnął za sznurek, który Francis przy-mocował do dzwonka, by mógł kogoś wezwać, nie wstając z leżanki.

Powinien był jej pokazać, jak się tu dzwoni po obsługę. Ciekawe, dlaczego David tego nie zrobił. Może był rozkojarzony. Przy tej pani o to nietrudno.

- Nie zapomnij o lunchu, Josie!!!

TLR

ROZDZIAŁ CZWARTY

„O efektywnym i stylowym ślubie w większym stopniu niż pomysły projektanta decydują naturalne środki”.

Serafina March „Ślub doskonały”.

Josie z trudem hamowała śmiech, ale czuła, że odzyskuje zdrowy rozsądek. Im dalej od uwodzicielskich oczu, tym bezpieczniej. Dziwne, że ból nie przeszkodził jej nowemu znajomemu we flirtowaniu. Nie dość, że ją bajerował, to jeszcze zrobił sobie z niej chłopca na posyłki.

- O pierwszej! - krzyknął za nią.

I jeszcze ma czelność podjadać jej lunch!

Niedoczekanie! Już ona narobi mu smaku! Postanowiła zjeść na jego oczach muffinkę, oblizując się przy każdym kęsie, ale spotkało ją przykre rozczarowanie. Przedsiębiorcza małpka wykorzystała jej nieobecność i poczęstowała się resztą śniadania. Po grzankach i muffince zostały tylko okruchy, którymi raczył się właśnie jakiś ptak.

Usłyszawszy nadchodzącą Josie, spojrzał na nią oczami jak koraliki, jakby chciał powiedzieć: „ani się waż mi przeszkadzać”. Wspaniałomyślnie pozwoliła.

Zwabiona piskami wśród gałęzi, zadarła głowę i ujrzała małpkę próbującą zwrócić na siebie jej uwagę. Gdy ich spojrzenia się spotkały, zwierzątko wyciągnęło łapkę, dopraszając się smakołyku. To na pewno samiec.

- Już mnie objadłeś ze wszystkiego! - zawołała. - Spróbuj szczęścia u sąsiada.

Małpka wyszczerzyła zęby i huśtając się między konarami, dała pokaz swoich akrobatycznych umiejętności.

- I co się popisujesz! - zawołała rozbawiona Josie, ale od razu pomyślała, że musi uważać na wszelkiej maści czarusiów, którzy bez skrupułów wykorzystują wrodzony wdzięk, by osiągnąć swoje cele. Myślała o tym, wystawiając twarz do słońca i chłonąc jego ciepło.

I pomyśleć, że pięć lat temu obierała ziemniaki i szorowała gary w hotelowej kuchni. A dziś prestiżowe pismo wysyła ją do ekskluzywnego ośrodka, by czuwała nad

przebiegiem ślubu kosztującego krocie. Jeśli sprosta zadaniu, dołączy do elitarnego grona „wybranych”. I udowodni, że Sylvie nie pomyliła się, dając jej szansę na powrót do normalnego życia.

Gideon, czy jak mu tam, może czarować ją do upadłego, a ona i tak nie da się zwieść na manowce.

Zmarnowała mnóstwo cennego czasu, więc szybko rozpakowała walizkę, przyczesła włosy i ubrała się w „strój roboczy”. Po wielu smutnych doświadczeniach z poparzeniami słonecznymi i ukąszeniami owadów zainwestowała w ubrania, które sprawdzały się w gorącym klimacie. Nie zważając na upał, sięgnęła po sprawdzony zestaw składający się z czarnej lnianej koszuli z długim rękawem, krótkiej spódnicy ściągniętej fioletowym skórzanym paskiem, czarnych pończoch (chroniących przed pogryzieniem) i sznurowanych butów za kostkę.

Gotowa do boju, wyciągnęła folder, w którym trzymała ogólny scenariusz imprezy, listę gości i własne notatki dotyczące rzeczy, które musi sprawdzić.

Przy okazji przypomniała sobie, że ma w torbie najnowszy numer „Celebrity” ze słodkim zdjęciem błękitnookiej Crystal na okładce. To nasunęło jej pewną myśl. Zerknęła w stronę domku Gideona. Wprawdzie ten magazyn to nie gazeta, ale są w nim liczne fotki z wieczoru panieńskiego Crystal. Uwieczniono na nich młode damy w skąpych bikini kłębiące się przy basenie, a potem balujące w sukniach, które więcej odsłaniają, niż zasłaniają. Jeśli facet chce zapomnieć o bólu krzyża, to takie obrazki pomogą mu bardziej niż ostatnie notowania giełdy. Ma się odstresować, więc niech sobie popatrzy na fajne laski.

Nagle zrobiło jej się głupio, że się z niego naśmiewa. Co prawda bezwstydnie ją wykorzystał, ale był w sytuacji nie do pozazdroszczenia. Atak korzonków dopadł go w miejscu pomyślanym jako raj dla tych, którzy chcą uciec od cywilizacji. Co oznacza brak telewizji, radia, internetu czy choćby możliwości zadzwonienia do domu. Po prostu miasakra.

Oczywiście jeśli to prawda, że jest unieruchomiony. Na jej oko wyglądał na sprawnego, ale nie był mięśniakiem wyhodowanym w siłowni. Efektowną muskulaturę

na pewno zawdzięczał zdrowemu wysiłkowi fizycznemu, wędrówkom, wspinaczce. Nic dziwnego, że pierwsze wrażenie było piorunujące.

Facet tak ją zauroczył, że parę razy zbierała się do odejścia, i za każdym razem zostawała. Po co w ogóle o nim myśli?! Wszystko z powodu zmęczenia i niewyspania. Po prostu jest rozbita. A przecież powinna zastanawiać się, jak rozwiązać problem braku miejsc. Jeśli Gideon naprawdę się nie ruszy, gdzie podzieją się państwo młodzi? Wierzyła, że nie jest w stanie wsiąść o własnych siłach do awionetki, ale musi być inny sposób transportowania chorych. Jest wielce prawdopodobne, że któryś z gości poważnie zachoruje czy dozna kontuzji wymagającej szybkiej pomocy? Co wtedy? Jak dostanie się do szpitala? Musi zapytać Davida, jak tu sobie wtedy radzą.

Lada moment hotel zapełni się ludźmi, za bezpieczeństwo których jest odpowiedzialna. Najpierw musi pozbyć się Gideona z domku państwa młodych. Chyba lepiej być z nim w przyjacielskich stosunkach, bo jak się na nią rozeźli, na pewno się nie wyniesie. Będzie więc dla niego słodka. Szkoda, że na lotnisku wyrzuciła gazetę. Trudno. Coś wymyśli. Jest gotowa karmić go łyżeczką, byle tylko nie stwarzał problemów.

Włożyła ciemne okulary, poprawiła torbę na ramieniu i ruszyła w stronę kładki między domkami. Starła się okiełznać rozbrykaną wyobraźnię, która produkowała kuszące wizje, że podsuwa Gideonowi smakowite kąski, robi relaksacyjny masaż, pomaga wejść do basenu.

Zastała go w identycznej pozycji, w jakiej go zostawiła. Myślała, że śpi, więc na palcach podeszła do stolika, by położyć tam pismo.

- Przyznaj się, Josie, że ciągnie cię tutaj - odezwał się znienacka.

Przestraszona, aż podskoczyła. Czuła się jak złodziej przyłapany na gorącym uczynku.

- Przychodzę jako siostra miłosierdzia - rzuciła obojętnie, ale kiedy otworzył oczy, przepłynął przez nią dreszcz.

Za to on zachował kamienną twarz, jakby nie zwrócił uwagi na zmiany w jej wyglądzie. Jednak wyraz oczu zdradził, że w myślach wyrwało mu się niecenzuralne słowo.

- Zmieniłaś zdanie co do masażu?

Niewiele brakowało, a ona też zakłęłaby jak szewc. Czy to możliwe, by czytali w swoich myślach? Domyślała się, że Gideon nie prowokuje jej dla rozrywki. Zorientował się, jak bardzo jej zależy, by zwolnił domek i bez skrupułów wykorzystywał swą przewagę.

- Trzeba poprawić twoją kondycję psychiczną. Wprawdzie nie mam gazety, ale znalazłam to.

- Żartujesz?

- Dlaczego? To ostatni numer. - Pstryknęła w okładkę. - Przynajmniej nie pomylisz mnie z panną młodą.

- Od razu coś mnie tknęło, że wyglądasz jakoś nietypowo - przyznał, zerkając na roześmianą Crystal w bikini. - Ona wygląda jak trzeba, ale ty...

Zamilkł. Josie nie była pewna, czy nie chce jej urazić, czy po prostu zabrakło mu słów.

- Ale ja...? - powtórzyła.

- Sam nie wiem. Daj mi trochę czasu do namysłu.

- Proszę bardzo. Masz czas do jutra do dziesiątej. Wykorzystaj to, żeby lepiej poznać Crystal.

- A po co?

- Skąd mam wiedzieć? To ty chcesz z nią mieszkać - odparła, wycofując się w stronę kładki.

- Zaczekaj!

Stanąła jak wryta, a potem posłusznie się odwróciła. Po tylu latach instynkt samozachowawczy kazał jej reagować na komendę.

- Josie?

Zła na siebie, poszła dalej.

- Jestem zajęta - rzuciła przez ramię.

- Wiem, ale skoro troszczysz się o moje samopoczucie, może przyniesiesz mi notes i długopis z torby od laptopa?

Ochłonęła. Zrozumiała, że Gideon prosi ją, a nie rozkazuje. Odetchnęła głęboko i zawróciła.

- Chyba lekarz zalecił ci odpoczynek od pracy?

- Owszem - przyznał z bezwstydnym uśmiechem.

- No właśnie... Już ci pomogłam złamać parę zakazów. Na jeden dzień wystarczy.

- Posłuchaj, to naprawdę ważne. Wpadło mi do głowy parę fajnych pomysłów. Jeśli ich nie zapiszę, zapomnę. I będę się stresował. A tego chyba nie chcesz?

- Co za typ! - Pokręciła głową.

- Na moim miejscu zrobiłabyś to samo.

Niewątpliwie. Oboje wiedzieli, że Josie zrobi wiele, żeby go sobie zjednać. I tu ją miał.

Odczekała, aż oczy przyzwyczają się do półmroku panującego w domku, który był identyczny jak ten, który zajmowała. Serafina wybrała go na lokum dla państwa młodych tylko dlatego, że zapewniał największą prywatność. Jutro wypełnią go kwiaty. Będą owoce, szampan i wszystko, czego dusza państwa młodych zapragnie. Na razie był pusty.

Josie nie dostrzegła żadnego przedmiotu, który mówiłby cokolwiek o upodobaniach mieszkańca. Na nocnym stoliku nie leżała żadna książka, nie stało zdjęcie. Jednym słowem brakowało tropu wskazującego, czym Gideon się zajmuje. Enigmatycznie wspomniał, że działa w branży turystycznej. Może więc jest wysłannikiem biura podróży, który sprawdza lokalizacje albo autorem książek podróźniczych. Kto go wie?

- Nie widzę tu żadnej torby od laptopa - zawołała, przejrzawszy wszystkie kąty.

- Zobacz w szafie!

Otworzyła ją i zerknęła na zawartość. Wiele tego nie miał. Wysłuzona skórzana torba podróżna. Kremowy lniany garnitur. I trochę ubrań, w sam raz dla kogoś, kto nie lubi obciążać się bagażem. Torba od laptopa leżała na najwyższej półce. Może doktor kazał położyć ją tak wysoko, by nie kusila?

- Mam!

Zdjęła ją i rozsunęła suwak. Pusto. Żadnych dokumentów, notatek. Widocznie Gideon nie tylko garderobę miał minimalistyczną. Nie chciała szperać w jego rzeczach, ale po cichu liczyła, że wpadnie na jakiś trop.

- Przynies całą torbę!

Miał w niej tylko zwykły czarny notes, parę długopisów, najnowszy model iPhone'a, zresztą identyczny jak jej, i mały, ale piekielnie drogi aparat cyfrowy.

- Prosiłem o torbę - zauważył, gdy podała mu rzeczy, o które prosił.

- Wiem. To miała być stymulacja, żebyś wstał.

Zmrużył oczy i ostentacyjnie obrzucił ją wzrokiem.

- Jeśli naprawdę chcesz mnie stymulować, wymyśl coś bardziej kuszącego.

W swoim życiu nasłuchiwała się propozycji i aluzji ze strony mężczyzn. Uznawała je za zło konieczne, skutek uboczny zawodu, który wybrała. Z reguły panowie stawali się wylewni po alkoholu, więc nie traktowała ich awansów poważnie. Tym razem mechanizm obronny nie zadziałał. Oczywiście mogła sobie wmawiać, że pieczenie policzków to wina ostrego afrykańskiego słońca, ale...

- Lunch? - Gideon nie dawał za wygraną.

- Proszę?

- W ramach zachęty?

Zaczerwieniła się jeszcze mocniej, a on zaczął się śmiać.

- Miłej lektury, panie McGrath! - Rzuciła mu pismo na kolana.

- Dziękuję, ale nie skorzystam. Daj to Alesii, recepcjonistce.

- Naprawdę nie chcesz sobie pooglądać? - Miał w sobie coś, co budziło w niej najgorsze instynkty. - Nie wiesz, co tracisz.

- Może opowiesz mi o tym, jak będziemy jedli lunch?

Facet jest niereformowalny. A przy tym złośliwy jak małpa, ale szczery. I pamięta o innych!

- Na co masz ochotę?

- Pytasz o lunch? Zaskocz mnie...

- Jeszcze cię nie zaskoczyłam? Proszę cię, nie przemęcz się pisaniem, bo jutro musisz być w dobrej formie. Z samego rana czeka cię przeprowadzka.

- Nie licz na to.

- Nie? Czyli na lunch będzie lekki rosółek - mruknęła - albo ryba na parze.

- Chcę chilli.

Aha, nie ma problemów ze słuchem.

- Ewentualnie krwisty stek.
- Raczej mleko z masłem i miodem.

Co takiego? Przecież to dla chorych dzieci!

Znów miała ostatnie słowo. Trudno, niech jej będzie. Gideon obserwował ją, jak idzie przez kładkę, nucąc piosenkę o krokodylu. Mógł się założyć, że każdy krokodyl, który wejdzie jej w drogę, ucieknie z podkulonym ogonem. A on nie! Może udawać groźną, może deptać wrogów buciorami, ale jej się nie boi. Popełniła wielki błąd, pozwalając mu ujrzeć swą prawdziwą twarz. Zapomniała włożyć maskę i dzięki temu wie, że jej włosy bez żelu kręcą się miękko, a pięknym oczom i świetlistej skórze nie potrzeba makijażu. Nie dał się zmylić pozorom. Bezbłędnie wyczuł bezbronność i niepewność, o które nikt by jej nie podejrzewał. Niech sobie chodzi z wysoko podniesioną głową, niech ma język ostry jak brzytwa. Nawet może mieć ostatnie słowo. Ale przewaga i tak jest po jego stronie.

Podśpiewując po nosem, szła do głównego budynku i wyobrażała sobie minę Gideona na widok dietetycznego dania. Bardzo dobrze. Dostanie, na co zasłużył.

- Zachowuj się! - mruknęła pod nosem, wchodząc do ocienionej recepcji. Jakaś nobliwie ubrana kobieta obciąła ją krytycznym wzrokiem. W końcu to nie Londyn, gdzie odmienność nie robi wrażenia.

- Witam, panno Fowler! - powitała ją recepcjonistka.
- Czy pan Kebabakile jest u siebie?
- Tak, proszę, żeby pani weszła.
- Zapraszam, panno Fowler! - David wychylił głowę z biura. - Rozgościła się pani?

A śniadanie smakowało?

Małpie na pewno.

- Śniadanie było pyszne. - W każdym razie to, co zdażyła zjeść. - Niestety, pojawiły się problemy. Wspominam o nich tylko dlatego, że nie jestem na wakacjach.

- Chodzi o brak łączności - odgadł.

- Właśnie! Skoro o tym mowa, jak mam zadzwonić do room serwisu, skoro w pokoju nie ma telefonu?

- Obok łóżka jest dzwonek. - David wykonał ruch imitujący pociąganie za sznurek.
- Wszystko jest opisane w broszurze informacyjnej.

Aha. Pech, że nie zdążyła do niej zajrzeć.

- Fajny pomysł z tym dzwonkiem. Szkoda, że nie można się dodzwonić do „Celebrity”.

David roześmiał się, biorąc jej słowa za dobry żart.

- Mówię poważnie. Chyba ma tu pan telefon satelitarny i internet?
- Oczywiście! Wszystko jest do pani dyspozycji.
- Co za ulga - odetchnęła.
- Kazałem wstawić dodatkowe biurko. - Wskazał niewielki stolik w rogu pomieszczenia. - Cały dzień jestem w terenie, więc będzie pani miała biuro dla siebie.
- Dziękuję, to nam ułatwi współpracę. Jest jednak pewna drażliwa kwestia. O co chodzi z panem McGrathem?

- Poznała pani Gideona? - David nie krył zaskoczenia.

- Tak, rozmawiałam z nim - przyznała.

- Doskonale! Biedak potrzebuje dobrego towarzystwa!

- Jasne. Problem w tym, że zajmuje domek państwa młodych. Co z tym robimy?

- Właśnie chciałem...

- Przecież wie pan, że jutro odbędzie się pierwsza sesja - przerwała mu, zanim zaczął ją namawiać, by zgodziła się na zamianę domków. Rozumiała, że Gideon to stały gość i z całego serca mu współczuła, ale musiała troszczyć się o swoich klientów. - Domyślam się, że jest sposób na ewakuację rannych i ciężko chorych.

- Oczywiście, przylatuje po nich helikopter. Gideon też mógł lecieć do szpitala, tylko że jego schorzenie nie wymaga hospitalizacji. Musi odpocząć, więc postanowił zostać.

- Rozumiem, ale...

- Według lekarzy tak będzie najlepiej.

- Tak, tak... Ale nie musi tu być, prawda?

- Nie musi - przyznał David - ale jest właścicielem tego ośrodka, więc sama pani rozumie... - Uniósł do góry ręce, dając do zrozumienia, że nie jest w stanie nic zrobić.

Josie patrzyła na niego jak na kosmitę. Gideon jest właścicielem Leopard Tree?

- Nie wiedziałam - bąknęła. - Nie wspomniał o tym.

- Pewnie myślał, że pani wie. Gideon ma ośrodki na całym świecie, ale to była jego pierwsza inwestycja. Osobiście nadzorował wszystkie etapy budowy.

Aha... Dobrze wyczuła, że zachowuje się jak pan na włościach.

- Skoro pan McGrath jest właścicielem ośrodka, zrozumie, że musi zwolnić domek. A on wie o tym ślubie? - zapytała, tknięta złym przeczuciem.

- Trudno powiedzieć - odparł David. - Pewnie nie, bo nie zajmuje się takimi sprawami. Jest prezesem, więc planuje nowe projekty, obmyśla strategię rozwoju, buduje ośrodki.

- Więc co tu robi?

- Leczy duszę. Gdzie miałyby to zrobić, jak nie tu?

Duszę? David chyba chce powiedzieć, że szef się przepracował.

- Pewnie musi pani wykonać mnóstwo telefonów? - Dyplomatycznie dał do zrozumienia, że temat Gideona uważa za zamknięty.

Josie zamierzała go docisnąć, ale dała spokój. Po co biedaka dręczyć? Przecież nie weźmie szefa na plecy i nie odeśle do wszystkich diabłów. Sama musi załatwić tę sprawę. Zje z Gideonem lunch i spróbuje przemówić mu do rozsądku. Nawet jeśli prywatnie nie pochwała pomysłu ze ślubem, to jako biznesmen rozumie, że rozgłos to pewne zyski. Czyli zamiast rosołku chilli.

- Proszę korzystać z mojego komputera - zachęcał David, jakby chciał wynagrodzić to, że nie może pomóc w usunięciu kukułczego jaja z miłosnego gniazda nowożeńców.

- Dzięki, faktycznie muszę sprawdzić mejle. Lista gości zmienia się z godziny na godzinę. Jeśli dopisze nam szczęście, ktoś odwoła przyjazd.

ROZDZIAŁ PIĄTY

„Nieważne, czy przyjęcie będzie wysmakowane i szykowne, czy ekscentryczne i zakręcone. Ważne, żeby miało indywidualny charakter. Trzeba uruchomić wyobraźnię i wybrać ciekawy motyw przewodni”.

Serafina March „Ślub doskonały”.

- O rany, naprawdę nie macie zasięgu?! Celebryci tego nie przeżyją - chichotała Emma. - Będą cierpieć na syndrom odstawienia, więc lepiej załatw im terapeutę.

- Bardzo zabawne! - prychnęła Josie. - Ty się nie martw o nich, tylko dzwoń do Marji i poinformuj ją, że w pokojach nie ma prądu. Niech fryzjerki przywiozą ze sobą prostownice na baterie albo na gaz.

Kiedy się rozłączyły, zadzwoniła do florystki i firmy cateringowej. Na deser zostawiła sobie asystentkę Gideona. Liczyła, że dzięki przysłudze wkupi się w jego łaski.

- Cara March...

March? Ciekawe. Tak samo jak słynna Serafina?

- Dzień dobry, panno March. Mówi Josie Fowler. Pan McGrath prosił, żebym się z panią skontaktowała.

- Gideon?! Jak on się biedny czuje?

Zbolały. I tak wkurzony, że za chwilę wywali cię na zbitą twarz, empatyczna kretyńko...

- Jest zaniepokojony. Prosił, żebym zapytała: „co do cholery dzieje się w marketingu”. Koniec cytatu.

- W marketingu?

- Odnoszę wrażenie, że pan McGrath nie jest zachwycony pomysłem urządzenia ślubu w Leopard Tree.

- A ten ślub jest w tym tygodniu? - jęknęła asystentka.

- Owszem.

- Cholera! Że też Gideon musiał właśnie teraz wybrać się w podróż sentymentalną. Gdyby nie zmienił planów, o niczym by się nie dowiedział.

Sentymenty? I Gideon? Dobrze sobie!

- Myśli pani, że nie zauważyłyby artykułów w „Celebrity”? - Josie nie mogła się powstrzymać przed drobną uszczypliwością. Intrygowało ją, dlaczego pracownicy Gideona knują za jego plecami.

- Niech mnie pani nie rozśmiesza! Gideon i „Celebrity”! Jest tak zaganiany, że w życiu nie wziął dnia urlopu...

- Co pani powie?

- Mam prośbę. Niech mu pani wyjaśni, że dział marketingu nie ma nic wspólnego z tym ślubem. Winna jest moja ciotka, Serafina March. Wieki temu wpadła tu po coś i poprosiła o aktualny katalog, a ja jej go dałam. Nie miałam pojęcia, że szuka ciekawej lokalizacji na ślub Tala Newmana. Niech mi pani wierzy, że ta kobieta nie rozumie słowa „nie”. Jest strasznie despotyczna.

- Tak też słyszałam. Ale jej projekt jest rewelacyjny. Niech pani jej powie, że postaram się zrealizować go jak najlepiej.

- Niestety, nie zrobię tego. Na wzmiankę o pani ciotka staje się agresywna. Nie chcę, żeby mi się oberwało. A Gideonowi proszę powiedzieć, że biorę całą winę na siebie. Jeśli poprawi mu to samopoczucie, może mnie zwolnić.

- Nie robi tego, prawda? - zaniepokoiła się Josie, współczując dziewczynie, którą los pokarał ciotką w osobie Serafiny March.

- Mam nadzieję, że mnie oszczędzi - westchnęła Cara. - Mam do pani prośbę. Skoro Gideon już tam jest, niech go pani przekona, żeby został jak najdłużej i wypoczął.

- Szkoda, że wybrał właśnie to miejsce.

- Coś mi mówi, że to Leopard Tree wybrało jego.

No rewelacja! Jeszcze tylko brakuje, żeby ludzie Gideona wciągnęli ją do spisku, którego celem jest ratowanie jego cennego zdrowia. Ona myśli, jak się go pozbyć, a ta jej nakazuje go zatrzymywać!

- Wszystko załatwione? - zapytał David, gdy spotkali się w holu.

- Wręcz przeciwnie! - mruknęła, wpatrując się w najnowszą listę gości. Jej modlitwy o zarazę nie zostały wysłuchane. Jak na złość gości przybyło. - Musimy zorganizować dodatkowy pokój.

- Jak idzie? - zapytał Gideon, któremu odpoczynek w chłodzie poprawił samopoczucie.

- Jak twoje plecy? - warknęła, nastrojona bojowo.

- Bez zmian - odparł, lecz zaraz dodał konspiracyjnym szeptem: - Po kawie jakby trochę lepiej.

- Cieszę się - odparła bez entuzjazmu i naląła sobie zimnej wody z termosu. - Mam nadzieję, że po lunchu twój stan jeszcze się poprawi.

- Nie rób mi złudnych nadziei.

- Nie robię, zamówiłam chilli. - Nie miała siły się z nim droczyć. - Dlaczego nie powiedziałaś, że jesteś właścicielem ośrodka?

- A jakie to ma znaczenie?

- Zasadnicze, skoro menedżer nie może cię poprosić, żebyś się wyniósł z domku, za który ktoś zapłacił.

- Żaden z moich menedżerów nie poprosi chorego gościa, żeby się wyniósł. Rozumiem, że ty nie miałabyś takich skrupułów.

- Jak ty mnie dobrze znasz! - zadrwiła. - Oboje wiemy, że nie jesteś gościem, więc życzę smacznego chilli. Ciesz się nim, póki możesz.

- Grozisz?

- Ja nigdy nie grożę. Tylko obiecuję. Jeśli do jutra nie zorganizujesz sobie transportu, z samego rana wezwę pogotowie lotnicze. Zastanów się, dokąd chcesz lecieć.

- Pogotowie ma jedno miejsce docelowe. To nie taksówka.

- Rzeczywiście. Potraktuj moje ostrzeżenie jak dodatkowy bodziec, żeby wziąć sprawy w swoje ręce. Szpitalna stołówka raczej nie serwuje dań na zamówienie - zakpiła, ale sama myśl o szpitalu przyprawiała ją o dreszcze. Zdecydowanie odsunęła od siebie wspomnienia matki gasnącej w obskurnej sali.

- To naprawdę chilli? - zapytał pojednawczo.

Ona również spuściła z tonu, bo wiedziała, że nie będzie w stanie odesłać go do szpitala.

- Chciałam ci poprawić nastrój. Nawet zadzwoniłam do twojej asystentki. - Z ulgą upiła łyk wody, a potem zdjęła okulary, odchyliła głowę i wylała na siebie całą zawartość

szklanki. Wzdrygnęła się, gdy lodowaty strumyk spłynął po jej twarzy i szyi między piersi. - Chcesz wody? - zapytała, spostrzegłszy, że Gideon podejrzliwie jej się przygląda.

- Nie... dzięki.

Spojrzała na szklankę, a potem na niego.

- Proszę cię, nie podsuwaj mi takich pomysłów - roześmiała się. - Miałam piekielnie ciężki ranek.

- Więc podaj mi chilli i wreszcie usiądź - ponaglił. - Jak już mówiłem, moje ramię jest do twojej dyspozycji.

Faktycznie, ramiona miał na tyle szerokie, że kobieta spokojnie mogłaby się w nich skryć i wyszlochać. Czego bynajmniej nie zamierzała robić.

- Gdybym rzeczywiście mogła dysponować twoim ramieniem, odesłałabym je razem z tobą na drugą półkulę. A teraz smacznego! - Podała mu talerz.

Uśmiechnął się błogo, bo od dwóch dni nie miał w ustach porządnego sycącego jedzenia. Poza tym podobała mu się zadziorność Josie. Lubił się z nią przekomarzać, ale słowne potyczki to za mało, by go ruszyć z miejsca. Zwłaszcza, że jako właściciel jest panem sytuacji.

- Doskonale! - mruknął. - A ty nie jesteś głodna?

Zdobyła się na słaby gest ręką, położyła na sąsiedniej leżance, z ulgą przymknęła oczy i przestała pozować na „ważną panią, która wie lepiej”. Gideon setki razy widział takie metamorfozy. Ludzie przyjeżdżali niezdrowo nakręceni, napompowani adrenaliną. Przez godzinę lub dwie działali na najwyższych obrotach, a potem trudy podróży oraz upał robiły swoje. Dopadało ich zmęczenie, którego nie byli w stanie przewyciężyć.

- No dobrze, proponuję zawieszenie broni. Myślę, że mogę ci pomóc.

- Wiem, że możesz, tylko nie chcesz - ziewnęła. - Leżysz sobie, pożerasz zakazane chilli i cieszysz się z cudzego nieszczęścia.

Nieprawda. No, może trochę... W końcu był górą, i to pod każdym względem. Gdyby zechciał, zmieniłby jej życie w koszmar. Musiałaby wylać krew, pot i łzy, żeby wywiązać się z umowy, a i tak nikt nie zwróciłby na to uwagi. Na zdjęciach wszystko wyglądałoby perfekcyjnie dzięki pomocy photoshopa.

Właśnie podnosił do ust kolejną porcję popisowego dania szefa kuchni, gdy nagle coś go tknęło. Uniósł pokrywę drugiego talerza. Ryba na parze. W bukietcie warzyw. Danie estetyczne, ale średnio kuszące. A więc „pani od ślubu” jest tak zdesperowana, że poświęciła się, byle on dostał, czego chce.

- Nie będę się cieszył z twojego nieszczęścia - obiecał.

- Akurat! Wiem, co myślisz o tej imprezie. Gdybyś miał czarodziejską różdżkę, już by mnie tu nie było.

- Cholera, zostawiłem w innej torbie.

- Szkoda. Mógłbyś nam wyczarować parę dodatkowych pokoi i mielibyśmy problem z głowy.

- Parę? Wydawało mi się, że brakuje jednego. Odwróciła się do niego i spojrzała spod rzęs.

- Mów, co ci leży na sercu - namawiał.

- Pamiętaj, że stoisz po drugiej stronie barykady. - Tylko jakie to ma znaczenie w jej beznadziejnym położeniu? - Mam kłopot ze starszą druhną - westchnęła.

- To chyba nic nowego? Co się stało? Druhna pokłóciła się z panną młodą o sukienkę? Podobno sukienki drухen muszą być paskudne, żeby nie robiły konkurencji panie młodej.

- Pudło. Suknie drухen są zjawiskowe.

- Czyli że drухna jest zbyt efektowna?

- Znowu pudło.

- Panna młoda przyłapała ją na flircie z panem młodym - zgadywał. - Nie? Całowała się z nim? Też nie? Poszła z nim do łóżka?!

- Przestań! Wtedy w ogóle nie byłoby ślubu! - Mówiła wolno, z trudem zbierając myśli. - Stało się coś o wiele gorszego.

- Czyli?

- Starsza drухna rzuciła swojego faceta.

- I? - Nie bardzo rozumiał, dlaczego jest to taką tragedią. - Przynajmniej zwolni się jedno łóżko. Ty zamieszkas z druhną, a państwo młodzi wprowadzą się do twojego domku. I po problemie.

- Wręcz przeciwnie. Druhna rzuciła swojego faceta, bo się zakochała, więc przyjeżdża z nowym chłopakiem.

- Czyli nic się nie zmienia. Jeden wskoczy na miejsce drugiego.

- Gdyby to było takie proste! Były facet drużny jest drużbą. Najchętniej zaproponowałabym, żebyście panowie zamieszkali razem, ale nasz drużba postanowił pokazać światu, że rozstanie spłynęło po nim jak po kaczce. I przyjeżdża ze swoją nową panienką - ciągnęła, walcząc z sennością.

- Chcesz powiedzieć, że to nie jest prawdziwa miłość?

- Czy ja wiem? Wszystko możliwe. Dla mnie byłoby lepiej, gdyby drużba w akcie rozpaczy w ogóle nie przyjechał na ślub.

Wreszcie się rozluźniła. Leżała bez ruchu, oddychając coraz wolniej. Gideon był prawie pewny, że zasnęła.

- „Celebrity” miałyby jeszcze jedną łzawą historię, a ja spokojną głowę, bo łatwiej znaleźć nowego drużbę niż wolny pokój - mruzczała, walcząc z obezwładniającym zmęczeniem i sennością.

- Ty to potrafisz współczuć!

- Daj spokój, jestem realistką. Póki co problemy z zakwaterowaniem zrzuciłam na Davida. Ma coś wymyślić i dopilnować, żeby druhna i drużba mieszkali jak najdalej od siebie. Jeśli się uda, może nie dojdzie do rękoczynów.

- A jeśli David niczego nie wymyśli?

- Oddam im swój domek.

- A gdzie będziesz spała?

- W biurze. Sypiałam już w gorszych miejscach... - odparła i zasnęła.

Zgasła jak płomień świecy.

Gideon spokojnie dokończył chilli, zastanawiając się, jakież to miejsca mogły być gorsze niż podłoga w biurze. A w ogóle kim ona jest i skąd się wzięła? Nie jest jedną z tych starannie wykształconych pańienek z arystokratycznym akcentem, którym zlecał przygotowanie imprez promocyjnych. Josie była inna, i nie chodzi tu o jej nietuzinkowy i uliczny spryt. Wyczuwał w niej nerwową desperację, z jaką broniła się przed porażką. Paradoksalnie była to jej największa słabość, obca dobrze urodzonym i pewnym siebie

dziewczynom, z którymi miał do czynienia. Doskonale rozumiał jej wolę walki i głód zwycięstwa.

Ostrożnie zsunął nogi z leżanki i usiadł, a potem wolno się wyprostował. Chwytał go ból, więc zagryzł wargi, ale się nie poddał. Odczekał chwilę, a potem opuścił płócienną zasłonę, by na Josie nie świeciło słońce. Następnie zadzwonił po Francisa, ale żeby nie tracić czasu, sam powłókł się do łazienki. I nawet zdążył. To nasunęło mu myśl, że jednak mógłby zrobić przyjemność Josie, wczłogać się do samolotu i polecieć do Patagonii.

Ledwie pomyślał o podróży, z bólu pociemniało mu w oczach. Gdyby nie złapał się drzwi, byłby upadł.

Z trudem otworzyła oczy i spojrzała na Gideona.

Leżał na plecach, z rękami pod głową. Chyba spał. Wyglądał tak bosko, że z wrażenia ją zamurowało. W pracy bez przerwy poznawała przystojnych facetów. Bogatych, wpływowych, interesujących. Wielu z nich próbowało umówić się na drinka, ale zawsze grzecznie odmawiała, bo nie lubiła mieszać obowiązków z przyjemnościami.

Dlaczego tym razem stało się inaczej? Czemu nie potrafiła obronić się przed jego uśmiechem? Pewnie dlatego, że znalazła się w wyjątkowo trudnej sytuacji, pozbawiona wsparcia, zdana wyłącznie na siebie. Gideon był głównym sprawcą jej kłopotów, ale potrafił obudzić w niej pragnienia, którym długo odmawiała prawa bytu. Poza tym instynktownie wyczuwała w nim sojusznika. Nie chodziło o to, by wypłakać mu się w rękaw. Podświadomie czuła, że może na nim polegać w trudnych chwilach. Niby chciała, by się wyniósł. I jednocześnie, żeby został.

Chyba wyczuł, że o nim myśli, bo odwrócił się do niej. I znów obezwładnił ją uśmiechem.

- Jak tam? W porządku?

- Tak... Nie...

Zaschło jej w ustach, czuła się odwodniona.

- Napij się. - Wskazał głową oszronioną butelkę.

- Dzięki, tego mi trzeba. - Pociągnęła solidny łyk, a potem wyciągnęła z kieszeni truskawkowy błyszczak, z którym się nie rozstawała. - O czym to ja mówiłam?

- Że spałaś w gorszych miejscach niż biuro Davida.

Znieruchomiała, bo na samo wspomnienie tych miejsc dostawała dreszczy. Obskurna cela w areszcie. Sześć nieskończenie długich miesięcy izolacji. Przytułek...

Odkręciła błyszczyk i bez pośpiechu pociągnęła usta, próbując przypomnieć sobie szczegóły rozmowy, która sprowokowała ją do tych rozmyślań. Brak wolnych pokoi. Cholerna starsza druhna i beznadziejny družba. Powiedziała Gideonowi, że muszą zorganizować jeszcze jeden pokój. Stąd pomysł spania na podłodze. Dziwne, ale w ogóle nie pamiętała, co było potem.

- Posłuchaj, nie powiesz Davidowi, że chcę nocować w biurze, bo przestanie szukać jakiegoś rozwiązania.

- Nie powiem, ale nie musisz się o to martwić. Jeśli Davidowi zależy na pracy, nie pozwoli ci spać na podłodze.

- Wyrzuciłbyś go? Mimo że sam jesteś winny?

- Istnieje coś takiego jak względy zdrowotne, przepisy bhp i polisa ubezpieczeniowa. Gdyby podczas takiego noclegu coś ci się stało, pozwałabyś mnie do sądu i puściła z torbami.

- Święte słowa! Zdarłabym z ciebie ostatnią koszulę, więc lepiej już sobie stąd idź - ponagliła. - Smakował ci lunch? - zapytała, żeby czasem nie zapomniał o przysłudze, którą mu wyświadczyła.

- Bardzo. Doceniam twoje poświęcenie.

Poświęcenie? Co on bredzi! Nie wie, że wielkowiejskie dziewczyny potrafią przeżyć dzień na gotowanej rybie i paru listkach sałaty? Ona była teraz tak głodna, że zjadłaby całą dużą pizzę. Ale jak się nie ma, co się lubi, trzeba zadowolić się rybą.

- Gdzie mój lunch? - zdziwiła się, widząc, że na stoliku nie ma nic prócz wody.

- Zabrała go obsługa.

- Słucham?

- Spałaś ponad trzy godziny.

- Nie żartuj! Ledwie przymknęłam oczy!

Zaniepokojona spojrzała na zegarek.

Piętnaście po czwartej? Niemożliwe! Zdezorientowana rozejrzała się dokoła. Kiedy przyszła, słońce wznosiło się wysoko nad horyzontem. Teraz światło nie było już tak ostre. Spojrzała do góry i stwierdziła, że ktoś rozpiął nad nią zasłonę.

- A skąd to się tu wzięło? Naprawdę zasnąłam? Dlaczego mnie nie obudziłeś?

- Po co miałbym cię budzić? Byłaś zmęczona, musiałaś się zdrzemnąć.

- Trzy godziny to nie jest drzemka! - zawołała, próbując wstać, jednak jej rozleniwione członki odmówiły współpracy. - Przecież ja mam kupę roboty! Mejle, wiadomości! Muszę porozmawiać z szefem kuchni, wypakować obrusy, sprawdzić, czy niczego nie brakuje. Spakować upominki dla setki gości!

- Uspokój się, Josie! Nie jesteśmy w Londynie! Tutaj nikt nie lata w upale. Weź przykład ze zwierząt.

- I co? Mam iść się chlapać w rzece?!

- Nie. Wczesnym popołudniem zwierzęta znajdują sobie jakieś chłodne miejsce i idą spać.

- Ten punkt programu już zaliczyłam!

- W takim razie pora na kąpiel.

Spojrzała na szerokie rozlewisko. Zwierzęta właśnie zaczęły się schodzić. Małe antylopy, zebry, majestatyczna żyrafa. Niespodziewanie wzruszenie ścisnęło ją za gardło. To nie żadne zoo ani podmiejski park safari. Wszystko dzieje się naprawdę. Jak urzeczona chłonęła niepowtarzalny widok. Jaka szkoda, że jest w pracy.

- Pamiętam, co mówiłeś o krokodylach, więc kąpiel sobie daruję.

- Kto ci się każe kąpać w rzece! Jak myślisz, że po co mamy tu basen?

- Tak, tak. Znam ten tekst: „proszę sobie wyobrazić: leży pani w basenie, popija szampana, a w dole słonie pluskają się w jeziorze” - zacytowała z pamięci.

- Moim zdaniem superpomysł. - Wyraźnie ożywiony zaczął rozpinać koszulę. - Ściągaj ten uniform, a ja wezwę obsługę.

- O czym ty mówisz?

- Niedawno wychwalałaś zalety terapii wodnej. Początkowo nie byłem przekonany, ale zachęcił mnie szampan.

Josie była z mordowana upałem, ciągle chciało jej się pić. Nic więc dziwnego, że perspektywa takiej terapii - rozkosznego połączenia chłodnej wody, rozpalonej skóry i towarzystwa wyjątkowo przystojnego faceta - wydała jej się kusząca. Od niepamiętnych czasów nie była na randce. Taki już los organizatorek imprez, że gdy inni się bawią, one pracują. Na życie towarzyskie nie mają czasu.

- Przyznaj się, że nie chodzi ci o terapię, tylko o drinka - skwitowała.

- Gdybym chciał się napić, nie zamawiałbym szampana. Ale kieliszek albo dwa na pewno dobrze mi zrobią.

- Brzmi to nieźle - odparła, do bólu świadoma, że Gideon bawi się jej kosztem. I bezwstydnie wykorzystuje ją do swoich celów. Zaczął skromnie, od kawy. Potem przyszła pora na chilli. Teraz zachciewa mu się kąpieli z szampanem. Nawet gdyby była na tyle głupia, by ulec pokusie, ma za dużo do zrobienia. I coraz mniej czasu. - Przemycę ci butelkę - obiecała.

- Na pewno nie dasz się skusić?

Och, pokusa była wyjątkowo silna, ale tego wieczoru będzie musiała zadowolić się chłodnym prysznicem i filiżanką herbaty.

- Może innym razem. Jutro przyjadą goście, nie mówiąc już o państwu młodych, których muszę gdzieś ulokować.

- Aha...

- Aha? - Zaniepokoił ją jego ton.

- Wiedziałem, że muszę ci o czymś powiedzieć...

- Błagam, niech to będzie wiadomość, że jednak wyjeżdżasz...

- Niestety, muszę cię rozczarować.

- Daj spokój, Gideon! - zniecierpliwiła się. Próbowwała już różnych sposobów. Była uczynna, była słodka. I nic. No to teraz będzie bezwzględna. - Oboje wiemy, że nie jest ci ani trochę przykro, więc przestań się zgrywać.

- Naprawdę mi przykro, że masz przeze mnie kłopoty. Napisz mejla do redakcji i zasugeruj, żeby ktoś z ekipy został w domu. Panna młoda poradzi sobie bez paru pomocników. Najwyżej sama zrobi sobie makijaż.

- O tym zapomniałeś mi powiedzieć? Pomysł niezły, tylko trochę spóźniony. Większość gości jest już w drodze. A teraz wybaczone, na mnie czas.

- Zaczekaj, to nie wszystko. Lepiej usiądź.

- Wiesz, coraz mniej mi się to wszystko podoba - ostrzegła, ale posłuchała go i wróciła na leżankę.

- Tal Newman przyleciał dziś do Gabarone. Wieczorem zje kolację z zawodnikami drużyny narodowej, a jutro potrenuje z dziećmi ze szkoły piłkarskiej.

- Wiem o tym. Znam program jego wizyty. I co w związku z tym?

- To, że zapomnieliście zorganizować coś dla Cryssie, więc dziewczyna wzięła sprawy w swoje ręce i zdecydowała, że zamiast nudzić się w hotelu, wsiądzie w awionetkę i przyleci tutaj, żeby odpocząć po podróży.

- Przyleci tutaj? Przyleci. Tutaj - powtórzyła jak automat, próbując zrozumieć sens komunikatu. - Chcesz powiedzieć, że Crystal Blaize... - swoją drogą, kiedy zdążył się z nią tak spoufalić, że nazywa ją Cryssie? - jest teraz w drodze do hotelu? - Nagle ogarnęło ją przerażenie. - I ty, wiedząc o tym, pozwoliłeś mi spać?!

- Nie, ona już tu jest. Przyleciała jakoś tak po lunchu. Szukała cię, ale kiedy zobaczyła, jaka jesteś wykończona, zabroniła cię budzić.

- Co?!!! - zerwała się jak oparzona. - Gdzie ona jest?

Gideon nie odpowiedział, bo próbował ją złapać. Za to ona krzyknęła, kiedy chwycił ją w pól.

- Auu! - zawył, gdy straciwszy równowagę, przewróciła się na niego.

Przez chwilę leżeli bez ruchu, wtuleni w siebie jak kochankowie po wspólnej nocy.

- Nic ci się nie stało?

Jego głos przeplątał przez nią jak wibrująca fala.

- Nic.

Obydwoje wstrzymali oddech. Josie przytuliła twarz do jego piersi i chwilę nasłuchiwała, jak dudni mu puls. Czowała zapach i smak opalanej skóry. Zdawało jej się, że wnika w nią siła jego mocnych ramion.

- A tobie? - szepnęła.

- Też nic.

Uniosła głowę, by sprawdzić, czy jej nie okłamuje. Bała się, że niechcący uszkodziła mu kręgosłup. Ledwie spojrzała na jego rozchylone usta, zaszumiało jej w głowie. Uświadomiła sobie, że bijące od niego ciepło nie wzięło się z wysokiej temperatury powietrza, ale z tego samego wewnętrznego ognia, który trawił i ją. Poczula mocny skurcz pożądania, który rozlał się po całym ciele.

Niemal od chwili, gdy Gideon podstępnie wyłudził od niej kawę, toczyli wojnę na słowa. Podczas gdy prawili sobie złościwości, ich oczy i ciała prowadziły własny dialog.

Wokół zapanował kompletny bezruch. Nawet cykady umilkły. Cisza stała się duszna i ciężka, jakby cały świat zamarł w oczekiwaniu. Nie wiadomo, kto był pierwszy, czyje usta okazały się bardziej niecierpliwe. Pocałunek, początkowo ostrożny i niespieszny, niósł słodką obietnicę tego, co może za chwilę się wydarzyć.

Josie nie pojmowała, co się z nią dzieje. Bez namysłu przyłgnęła do Gideona całym ciałem, ale i tak było jej mało jego bliskości. Pragnęła go w dziki pierwotny sposób, gotowa oddać wszystko za iluzję bezpieczeństwa w jego ramionach. Gideon chyba wyczuł podświadomie to pragnienie, bo objął ją jeszcze mocniej i naparł biodrami na jej biodra, by poczuła, jak jej pragnie. Jego dłonie coraz bardziej niecierpliwie pieściły jej ciało, pocałunki dawno przestały być ostrożne i łagodne. Nie broniła się. Tak bardzo chciała być pieszczona, pożądana, kochana...

Jeszcze się do niego tuliła, zatracala w pocałunkach, ale już przerażające słowo „kochana”, narzędzie kłamliwych mężczyzn, wbijało się w mózg jak ostry sople lodu. Przerazona, szarpnęła się i wyrwała z jego objęć. Nim zdołał ją powstrzymać, zsunęła się na podest.

- Josie... - Znów próbował ją złapać, ale nie zdążył i spadł z leżanki.

- Nie... - Odsunęła się od niego i nerwowo wytarła usta grzbietem dłoni, by zetrzeć z siebie wspomnienie jego pocałunków.

- Co ja zrobiłem nie tak? - zapytał bezradnie.

- Nic! To nie twoja wina. To ja... - pokręciła głową, nie znajdując słów usprawiedliwienia na swoje bezsensowne zachowanie.

- Nie chcesz?

Skinęła głową.

- Boli cię coś? - zapytała.

- Tylko urażona duma. Zazwyczaj kobiety inaczej reagują, kiedy je całuję.

Nie wątpiła. Ten pocałunek był cudowny. Tak ją rozpalił, że straciła głowę.

- Tu nie chodzi o pocałunek. Ja po prostu... - Bezradnie rozłożyła ręce. Zmieniła całe swoje życie. Z trudem odzyskała nad nim kontrolę. I przysięgła sobie, że nie pozwoli, by ktokolwiek jej to odebrał.

Zmrużył oczy.

- Nie możesz?

Znała takie spojrzenia aż za dobrze. Wiedziała, że Gideon próbuje ją rozgryźć, zastanawia się, co z nią jest nie tak. Co jej się przydarzyło, kto ją skrzywdził. Jednak wszystkie jego przypuszczenia były błędne. Po prostu nie starczało wyobraźni, by pojąć, jaki koszmar przeżyła.

TLR

ROZDZIAŁ SZÓSTY

„Ślubna suknia. Wyjątkowa, niepowtarzalna, symboliczny znak, który mówi nam, co myśli o sobie panna młoda. Suknia to wielka tajemnica, do ostatniej chwili intrygująca i wzbudzająca ciekawość”.

Serafina March „Ślub doskonały”.

Josie nieraz była przesłuchiwana, więc psychicznie czuła się gotowa na pytania w stylu: to było molestowanie czy gwałt? Dotąd żaden mężczyzna nie zapytał, co takiego zrobił, że straciła ochotę na seks. Gideon też nie drażył tematu.

- Nie przejmuj się, Josie - powiedział po chwili tak obojętnie, że gdyby nie fala ogromnej ulgi, pewnie poczułaby się dotknięta. - Nic się nie stało.

Nic?

- Nie musisz mnie przeproszać. Ani się tłumaczyć - mruknęła.

- Nie?

Łatwo mu mówić. Widocznie dla niego to normalne, że kobiety rzucają się na niego. Przecież nie zamierzała go napastować. Ze zmęczenia i rozespania zakręciło jej się w głowie i stąd to wszystko. Gdyby jej równowaga, psychiczna i fizyczna, nie była zachwiana, w życiu by się tak nie zachowała. Nie miała do Gideona pretensji o to, co między nimi zaszło. Przecież nie całował jej na siłę. Od początku przeczuwała, że coś takiego się wydarzy. Ale łudziła się, że będzie w stanie zapanować nad emocjami...

- Nie! - odrzekła zdecydowanie, po czym ostrożnie wstała. - Nie musisz nic mówić. Pomóc ci wstać?

Obrzucił ją krytycznym spojrzeniem, jakby rozważał ewentualne następstwa akcji ratunkowej.

- Kiepski pomysł - zawyrokował.

Nie dziwiła się, że nie ma ochoty na kolejną rundę zapasów. Sama też nie miała.

- Wezwać kogoś do pomocy?

- Nie martw się o mnie. Martw się o pannę młodą.

- Właśnie... Wiesz może, gdzie ona jest?

- Pewnie w swoim domku.

- W swoim domku?! Co ty opowiadasz? - Wreszcie udało jej się przewyciężyć umysłowe odrętwienie. - Przecież ona ma mieszkać tutaj!

- Jest jeszcze jedna sprawa, o której chciałem ci powiedzieć, zanim się na mnie rzuciłaś.

- Co za szkoda, że cię nie uszkodziłam! Druga okazja już się nie nadarzy.

- Tak dziękujesz facetowi, który w czasie, kiedy sobie chrapałaś, pozłatwiał za ciebie różne sprawy i rozwiązał problemy z zakwaterowaniem?

Przesadził z tym chrapaniem, ale darowała mu. Miała na głowie ważniejsze sprawy niż kłótnie o bzdury.

- Można wiedzieć, co takiego zrobiłeś? Powiedziałeś abrakadabra i zbudowałeś dom z powietrza?

- Bo ty tak robisz, kiedy zabraknie miejsc?

- Nie potrzebuję czarów! Znam się na tym, co robię! - Zdenerwowała się, ale szybko pojęła, że awantura to droga donikąd. - Stop! - Wyciągnęła rękę. - Wróć! - odechnęła głęboko. - Dziękuję ci za pomoc i zaangażowanie. Czy byłbyś łaskaw wprowadzić mnie w szczegóły i powiedzieć, co takiego załatwiłeś?

- Usiądź, zaraz ci wszystko opowiem.

Posłuchała go, ale zamiast leżanki wybrała rozkładane krzeselko, które pewnie przyniósł David, by mogli z Gideonem uciąć sobie pogawędkę nad jej niczego nieświadomym ciałem.

- Zamieniam się w słuch...

- Drużba i jego dziewczyna będą spali na statku, w kajucie kapitana.

- A kapitan?

- Przeniesie się do kajuty pierwszego oficera.

- A oficer? Nie, nie chcę wiedzieć, gdzie go ulokowałeś. - Doceniała, co dla niej zrobił, zwłaszcza że nie musiał. - Dziękuję ci bardzo. Twoja pomoc jest nieoceniona.

Gideon tak się wciągnął w rozmowę, iż nawet nie poczuł, że tępy ból niezaspokojonego pożądanego walczy o lepsze z bólem pleców, w które wbija się krawędź leżanki. Analizował, co wydarzyło się między nim a Josie. Był zdania, że kobieta zawsze ma

prawo się rozmyślić i nie musi za to przeproszać. Od początku czuł, że pojawiła się między nimi ta niezwykła chemia, która prowadzi do silnego seksualnego przyciągania. Tyle że on poczuł się jak rażony gromem. Był przekonany, że Josie uciekła z jego ramion, bo przestraszyła się siebie, nie jego.

- Miło z twojej strony, że mi pomogłeś.

- Jak mówią mądrzy ludzie: nie ma czegoś takiego jak darmowy lunch - prowokował, bo chciał, by się rozluźniła i znów była sobą, wyszczekaną dziewczyną, u której co w myśli, to na języku. - Chyba się nie pomylę, jeśli powiem, że nie oddałaś mi swojego posiłku bezinteresownie?

- Ani trochę! - Nawet nie drgnęła jej powieka.

Dobrze, tak trzymaj...

- Wciąż mamy do rozwiązania największy problem, czyli pokój dla państwa młodych - zauważyła. - Jak możemy to załatwić?

Coraz lepiej...

- Nijak. Już to załatwiłem.

- Naprawdę?

- Tak. Ty i ja zamieszkamy razem.

Zbladła i powoli wstała z krzeselka. Gideon spodziewał się takiej reakcji.

- Widzę, że ty i David mieliście pracowite popołudnie. Długo myśleliście, zanim wpadliście na to salomonowe rozwiązanie?

- Domyślam się, co ci chodzi po głowie, ale niepotrzebnie posądzasz nas o złe intencje. Przejrzeliśmy listę gości i stwierdziliśmy, że wśród zaproszonych są same pary. A jedynymi singlami na tej Arce Noego jesteśmy my dwoje.

- A nie przyszło wam do głowy, że możesz wyjechać?

- Brałem to pod uwagę. Nawet zacząłem się zbierać, ale udało mi się dojść tylko do łazienki. Ledwie pomyślałem, że mam wsiąść do samolotu, dopadł mnie wściekły ból.

- Popatrz, jak dobrze się złożyło...

- Myślisz, że sprawia mi to przyjemność?

- Nie, oczywiście, że nie! - Wyraz jej twarzy złagodniał. - Przepraszam, to idiotyczne, co powiedziałam.

Kusiło go, by jej powiedzieć, że jeśli tylko zechce, w pięć minut uśmierzy jego cierpienie, ale ugryzł się w język. Wolał obserwować, jak po raz kolejny tego dnia Josie zмага się z sytuacją, na którą nie ma wpływu.

- Nie czujesz się komfortowo w powietrzu? - zapytała ze współczuciem.

Zaczął się śmiać, choć wiedział, że nie powinien.

- Pytasz, czy boję się latać?

- Nie ma się czego wstydzić.

- Kobieto, masz pojęcie, ile mil lotniczych pokonuję każdego roku?

- Im częściej się lata, tym większe ryzyko, że...

- Daj spokój! Mam licencję pilota. I własną awionetkę, którą czasem latam na zawody. Wykonuję akrobacje powietrzne.

- Dobrze, dobrze - poddała się. - Tylko jedno mnie dziwi. Skoro nie możesz się ruszać, jak zamierzasz przenieść się do mojego domku?

- To nie ja się przenoszę, tylko ty.

- Proszę? - Miała nadzieję, że się przesłyszała.

- Przenosisz się do mnie.

- Cholera jasna, Gideon, ty w ogóle nie słuchasz, co do ciebie mówię! - Zirytowana zaczęła miotać się po podeście, wymachując rękami. - Ty naprawdę nie rozumiesz, że ten domek został zarezerwowany dla państwa młodych?! Uwierz mi, że nie jest wszystko jedno, gdzie spędzą noc poślubną. Zgodnie z planem mają nocować tutaj!

- Tak już jest na tym świecie, że w każdej bitwie plan, choćby najlepszy, musi polec jako pierwszy - zauważył filozoficznie. - Ciotka Cary wybrała to miejsce, żeby młodzi mieli święty spokój. A Cryssie zerknęła na domek i oznajmiła, że nie chce tu mieszkać, bo będzie się czuła odcięta od świata. Jednym słowem: bardzo dziękuję, ale nie skorzystam.

- Co takiego? - Josie zatrzymała się gwałtownie. Po drugiej stronie rozlewiska stało zebranie ustawione rzędkiem niczym zdumieni weselnicy, którzy nagle usłyszeli, że ksiądz klnie jak szewc. - Przecież Cryssie zaaprobowała plan Serafiny?

- Może na papierze wyglądało to inaczej? Skąd mam wiedzieć? - Wzruszył ramionami. - Wiem tylko, co powiedziała: „nie ma mowy, żebym siedziała w tej głuszy i cze-

kała, aż coś mnie pożre". - Gideon tak zabawnie parodiował głos słodkiej blondynki, że choć najchętniej udusiłaby go gołymi rękami, Josie parsknęła śmiechem.

- Wyglupiasz się! Wcałe tak nie powiedziała.

- Nie? Sama ją zapytaj. - On też się roześmiał. - Mówiłem, że ślub w małym zoo to lepsza opcja.

- Też bym wolała ten wariant, gdybym miała na to wpływ. Trudno, stało się. Gdzie ją ulokowałeś?

- W domu położonym najbliżej głównego budynku. A fotograf i wizażystka zamieszkają tu, obok nas.

- Czyli w moim domku? Wystarczyło, że na chwilę przymknęłam oczy...

- Na trzy godziny!

- ...a ty już zdążyłeś kogoś tam umieścić!

- Josie, przecież sama mówiłaś, że jak będzie trzeba, to się gdzieś przeniesiesz... - Zgoda, ale to nie znaczy, że będzie z tego zadowolona. - Goście zwolnią następne pokoje dopiero jutro rano. Może myślisz, że potrzebujemy reklamy, ale uwierz mi, że w Leopard Tree prawie zawsze mamy komplet. Cryssie przyjechała dzień wcześniej, w dodatku z całą świtą. Naprawdę powinna się cieszyć, że ma gdzie spać.

- Wiem i przykro mi, że tak się stało. Tym bardziej powinieneś mnie obudzić.

- Mam zbyt miękkie serce.

- I zbyt tchórzliwą naturę! Dobrze wiedziałeś, że nie poddam się bez walki. Pewnie myślałeś, że jak postawisz mnie przed faktem dokonanym, jakoś ci się upiecze.

- Nie potwierdzam, nie zaprzeczam.

- Trudno, stało się. Idę po swoje rzeczy - oznajmiła. - Ale nie myśl sobie, że sprawa załatwiona.

- Nie musisz nigdzie chodzić. Alesia je przeniosła.

- Ach tak...

Czyli nie tylko jej własna klientka, ale połowa personelu paradowała w tę i z powrotem, patrząc, jak ona „chrapie" i przy okazji urządzając jej życie. Najgorsze, że podejmowali za nią decyzje. Wchodzili w jej kompetencje. Nie podobało jej się to. Bardzo.

Nie powiedziała o tym Gideonowi, tylko obróciła się na pięcie i jak burza wpadła do środka, by sprawdzić, co zrobili z jej rzeczami.

Przeprowadzka na pewno była pomysłem Gideona i wcale nie konsultował tego z Davidem. Menedżer hotelu nie zrobiłby czegoś takiego bez jej zgody. Gideon musiał mu nakłamać, że ona o tym wie. A David mu uwierzył, bo czemu nie, skoro widział ją śpiącą na leżance, jakby była u siebie. Jak jakaś cholerna Jane u boku swojego Tarzana. Sprytny plan, tak prosty i gładki jak starannie zasłane łożo, w którym miała spać z Gideonem. Nigdy w życiu!

- Wszystko jest? - zapytał, gdy wyszła na zewnątrz.

- Tak. Twój pracownicy spisali się na medal.

- Cieszę się. Masz na głowie mnóstwo spraw, więc chciałem zaoszczędzić ci trochę czasu - tłumaczył.

- Tak pomyślałeś?

- No dobra. Co znowu jest nie tak?

- Co może być nie tak? - zapytała, udając, że nie ma pojęcia, o co mu chodzi.

- Właśnie nie wiem. Rozwiązałem problem z zakwaterowaniem. Panna młoda ma gdzie spać, jest zadowolona. Ty też masz gdzie spać. Łóżko jest tak wielkie, że możemy się w nim bawić w chowanego. Chyba przyznasz, że to niezła alternatywa dla podłogi w biurze?

- Możliwe, ale wolałabym sama decydować o sprawach, które mnie dotyczą.

- Chciałem ci ułatwić życie.

- Nieprawda. Chciałeś je ułatwić sobie. Zero dyskusji. Decyzja podjęta. Wszyscy zadowoleni. Sprawa załatwiona. I pozamiatane!

Nie próbował zaprzeczać, bo wiedział, że jej nie przekona.

- Coś mi się zdaje, że zaraz się dowiem, iż jednak schrzaniłem sprawę.

- Powiem tak - zaczęła, siląc się na spokój. - Podobno spanie na twardym dobrze robi na plecy, więc będziesz spał na podłodze w biurze. Znikaj stąd! - rzuciła w wściekłością i nie czekając na odpowiedź, poszła szukać Crystal.

Schodziła ze schodków, złorzecząc pod nosem, w równym stopniu zła na niego, co na siebie. Zachowała się jak idiotka, bo jak by nie patrzeć, Gideon wyratował ją z opresji. Intencje miał dobre, tylko biedny nie przewidział, jak ona zareaguje, gdy się dowie, że bez jej wiedzy przejął kontrolę nad sytuacją. Nienawidziła tego. Czowała się bezużyteczna, bezradna, bezsilna. Kiedyś przysięgła sobie, że nigdy nie pozwoli, by ktoś mieszał się do jej spraw i decydował za nią. Kretynka, kretynka, kretynka!

Istnieją dwie żelazne zasady. Pierwsza brzmi: nie wysuwaj gróźb, jeśli nie jesteś gotowa ich spełnić lub, co gorsza, nie masz możliwości tego zrobić. I zasada numer dwa: jeśli nie możesz zapanować nad sytuacją, przynajmniej panuj nad sobą. Złamała obydwie.

Crystal wyszła jej na spotkanie owinięta wspaniałą jedwabną tuniką przypominającą kimono. Właśnie szła popływać i zaproponowała, by Josie do niej dołączyła.

- Bardzo bym chciała, ale nie mam czasu - wymówiła się. - Za to chętnie cię odprowadzę. Przepraszam, że spałam, kiedy przyjechałaś. Szkoda, że mnie nie obudziłaś, pomogłabym ci się rozlokować.

- Nie było takiej potrzeby. Gideon wszystko załatwił. Świetny facet, naprawdę. Zresztą zorientowałam się, że jesteś padnięta, bo tyle osób się tam kręciło, a ty spałaś jak zabita.

- Wszystko jedno. Jestem tu w pracy, Crystal...

- Mów mi Cryssie.

- No więc, Cryssie, jestem tu po to, żeby ci pomagać. Pamiętaj, że możesz zwrócić się do mnie w każdej sprawie, nawet w środku nocy. Jak ci się podoba twój domek?

- Fajny, chociaż w pierwszej chwili byłam przerażona. Jak szłam za Davidem przez te zarośla, myślałam, że jestem na końcu świata.

- Serafina chciała zapewnić wam prywatność.

- Prywatność? - Cryssie prychnęła. - O czym ty mówisz? Przecież ten ślub to jedna wielka szopka dla mediów.

- Więc po co to robisz? Przecież nie dla pieniędzy.

- Ludzie myślą, że jestem głupią modelką, która znalazła sobie równie głupiego, za to nadzianego piłkarza - mówiła Crystal, kompletnie nieświadoma wrażenia, jakie wy-

wiera na otoczeniu. Albo tak do tego przyzwyczajona, że przestała zwracać uwagę na gapiów.

Josie była jej wzrostu, ale na tym podobieństwa się kończyły. Nigdy nie miała kompleksów na punkcie swojej chłopięcej figury i dawno pogodziła się z tym, że jeśli ktoś się za nią ogląda, to raczej ze zdumienia niż z podziwu. Jednak teraz, idąc obok zachwycającej Cryssie, bodaj pierwszy raz w życiu poczuła lekkie ukłucie zazdrości. Bolesnie uświadomiła sobie, dlaczego Gideon nagle zmienił front i z Pana Upierdliwego zrobił się Panem do Rany Przyłóż. Kto by się oparł takiej kobiecie?

Kiedy usiadły nad basenem, Cryssie zwierzyła jej się ze swoich planów dotyczących okrągłej sumy, którą redakcja „Celebrity” miała zapłacić za zdjęcia.

- Ja i Tal już dawno postanowiliśmy, że zorganizujemy obozy sportowe dla dzieciaków z biednych rodzin. Poszczyściło nam się w życiu, więc chcemy spłacić dług wobec losu. Wiedzieliśmy, że w dniu ślubu media i tak nie dadzą nam spokoju, więc poszliśmy na układ z kolorowym pismem. Oni będą mieli zdjęcia, my pieniądze na obozy. Ale na tym koniec - powiedziała zdecydowanym tonem. - Nasze dzieci nie będą królami tabloidów.

Josie była pod wrażeniem jej pomysłu.

- Posłuchaj, może zjemy razem kolację? I przy okazji omówimy różne sprawy? - zaproponowała Cryssie. - Na przykład o siódmej, dobrze?

- Tak, oczywiście. A czy przedtem mogę ci w czymś pomóc?

- Chyba nie. Chociaż... - zastanowiła się Cryssie - czy mogłabyś coś zrobić z moją sukienką? Nie mieści się do szafy, a nie chciałabym, żeby Tal ją zobaczył.

- Jasne. Zabiorę ją do siebie.

- Dzięki. Aha, i jeszcze jedno. Czy Gideon już ci mówił, że zaprosiłam go na ślub?

- Naprawdę? - Josie uśmiechnęła się z przymusem.

Facet przyprawia ją o ból głowy od chwili, gdy na niego spojrzała. Miała nadzieję, że podczas ślubu wreszcie od niego odpocznie. A tu taka niespodzianka!

- Jeśli chcesz, możemy wspólnie ustalić, jak posadzić gości - zaproponowała Cryssie.

Gideon leżał na pomoście i odtwarzał w pamięci szczegóły rozmowy z Josie. W jednym musiał przyznać jej rację: nie powinien był podejmować za nią decyzji. Jako szef dużej firmy nawykł do wydawania poleceń. Może dlatego trochę się zagalopował i niepotrzebnie zaczął mieszać się w jej sprawy.

Ostrożnie podniósł się z leżanki i odczekał, aż poczuje się pewnie na własnych nogach. Kręgosłup wciąż mu dokuczał, ale ból nie był już tak dojmujący. Jeśli prawdą jest, że potrzebuje wewnętrznego spokoju, to dziś na pewno go nie zaznał. Adrenalina buzowała w nim od samego rana, ale z zupełnie innych powodów. Lekarze jak zwykle mieli własne teorie, ale Gideon i tak wiedział lepiej, co jest przyczyną dziwnych dolegliwości. Wszystko zaczęło się w chwili, gdy postanowił sprzedać Leopard Tree, jedyny ze swoich ośrodków, którego nie mógł ani nie chciał odwiedzać. Ale nie potrafił przestać o nim myśleć.

Wolno poszedł do domku. Na razie ból był znośny, ale wolał nie ryzykować. Odczekał, aż oczy przyzwyczają się do półmroku, po czym otworzył szafę i zobaczył to, co wcześniej musiała widzieć Josie. Obok jego garnituru wisiała wieczorowa sukienka z fioletowego szyfonu. Sandałki na obcasach dotykały jego pantofli, podobnie jak walizka skórzanej torby.

Poprosił Alesię, by przeniosła rzeczy Josie, ale nie spodziewał się takiego efektu. Nie wyglądało to bowiem jak rzeczy obcych ludzi, którzy przypadkiem dzielą pokój : jej ubrania po jednej stronie szafy, jego po drugiej. W tym, co zobaczył, była jakaś intymność typowa dla osób, które mieszkają i śpiąją ze sobą, tworząc jedność. Są ze sobą z wyboru, a nie z przypadku.

Mógł poprosić Francisa, by go spakował, ale szkoda mu było czasu. Chciał jak najszybciej opuścić to miejsce. Jeśli się pospieszy, taksówka przyleci po niego jeszcze dziś, więc nie zwlekając, schylił się po torbę.

Josie miała spokojniejsze sumienie, bo udało jej się załatwić sporo spraw. Porozmawiała z kucharzem o menu, a z kelnerami o nakrywaniu stołów. Dokładnie obejrzała serwetki i obrusy, które podobnie jak kwiaty były niebieskie i pomarańczowe, jak barwy klubowe drużyny Tala.

W drodze do domu wstąpiła do Cryssie po suknię i przy okazji zapytała, czy przypadkiem nie boi się być sama. Upewniwszy się, że wszystko u niej w porządku, ruszyła w stronę domku Gideona. Po drodze przygotowywała się psychicznie na moment, w którym przed nim stanie i będzie musiała przełknąć gorycz porażki.

Gasnące promienie słońca oświetlały pomost, na którym nie było nikogo. W domku nie paliła się żadna świeca. Gdzie on jest? Chyba się nie poddał? A może wziął sobie do serca jej słowa i przeniósł się do biura? Dziwne, przecież ledwo się porusza...

- Gideon!!! - zawołała, ogarnięta niepokojem.

- Jestem w środku, leżę na podłodze. Tylko błagam, nie przewróć się na mnie.

- Ale gdzie w środku? I co ci się stało?

- Obok szafy.

Po omacku szła w stronę jego głosu, aż w pewnej chwili zderzyła się z otwartymi drzwiami szafy.

- Aj!

- Kurczę, zapomniałem cię uprzedzić.

- Nieważne, nic się nie stało.

Namaciała górną krawędź drzwi i ostrożnie powiesiła na nich suknię. Potem uklękła i zaczęła przeszukiwać podłogę. Po chwili natrafiła na nogę Gideona.

- Hej, ręce przy sobie! - mruknął.

- Przewróciłeś się? Rozbiłeś głowę?

- Nie. Schyliłem się po torbę i znów mi strzeliło w krzyżu.

- Co za idiota!

- Leżę tu od paru godzin i czekam, żeby to usłyszeć. Gdzieś ty była tyle czasu?

- W pracy - odparła i aby odwlec przeprosiny, opowiedziała mu, co robiła.

- Same ważne sprawy - zakpił.

- Za to mi płacą. W umowie z „Celebrity” nie ma słowa o tym, że mam cię niańczyć - warknęła. - Cholera, chciałam cię przeprosić, być miłą, a ty mnie znowu wkurzyłeś.

- Chciałaś być miłą? - powtórzył tak sugestywnie, że niezdrowo pobudził jej wyobraźnię.

Kontroluj się, kobieto!

- Nic sobie nie zrobiłeś? Jak kręgosłup? - zapytała łagodnym głosem, którym zwykle przemawiała do spanikowanych panien młodych i histeryzujących matek pana młodego.

- Lepiej. Chyba pomogło leżenie na twardym. Mój kręgosłup rzeczywiście pokazuje mi, czego mu trzeba.

- Może powinieneś tu spać?

- To twoja najlepsza propozycja?

- Zamknij się! Zaraz zapalę świece. - Próbowała się cofnąć, ale niechcący uderzyła go kolanem.

- Auć!

- Przepraszam! - Cofnęła się i zaczęła pełznąć w stronę łóżka, o które po chwili stuknęła głową.

- Aua!

Gideon zaczął się śmiać.

- To wcale nie jest śmieszne!

- Wiem. Przepraszam...

Nie wiedziała, co ją rozśmieszyło. Może po prostu udzieliła jej się jego radość. Efekt był taki, że dostała ataku śmiechu i po chwili leżała obok niego na podłodze, tarzając się i bez przerwy go trącając. I po każdym jego: „Auuu!” zaczynali zaśmiewać się od nowa. Jej „przepraszam” prowokowało ich do kolejnego ataku.

W pewnej chwili Gideon wziął ją za rękę. I od razu odechciało jej się śmiać.

ROZDZIAŁ SIÓDMY

„Zdarza się, że panna młoda życzy sobie, by w ceremonii uczestniczył jej ukochany pies, koń lub inny pupil. Stanowi to pewne wyzwanie...”

Serafina March „Ślub doskonały”.

- Jak tam? Lepiej? - zapytał Gideon, gdy krztusząc się i prychnając, próbowała złapać oddech.

- Tak... - Bez dwóch zdań. O niebo lepiej. Nie miała pojęcia, że wystarczy, by facet wziął ją za rękę, i od razu poczuje się bezpieczna. - A ty?

- Bez porównania lepiej niż jeszcze dziesięć minut temu. - Wyczuła, że odwrócił głowę w jej stronę. - Już wiem, dlaczego mówią, że śmiech to zdrowie.

- Zapalę świece - powiedziała.

- Nie ma pośpiechu. Tak jest dobrze.

Nim zdążyła zareagować, rozległ się dźwięk dzwonka i w drzwiach stanęła ciemna postać.

- Rra?

- Tu jesteśmy, Francis. Zapal nam świece, dobrze?

- Nic się panu nie stało? - zapytał Francis, gdy pokój zalało łagodne światło. - O, i pani tu jest. Mogę w czymś pomóc?

Gideon poprosił go, by rozwiesił moskitierę.

- I jeszcze przynieś dużą whisky dla pani i wodę dla mnie. Panna Fowler na pewno chętnie coś przekąsi, bo minęło sporo czasu, odkąd jadła lunch.

- Sporo czasu? Niezły dowcip! - fuknęła po wyjściu Francis. - W ogóle nie jadłam lunchu. A śniadanie zżarła mi mała. Nic dziwnego, że z głodu zakreśliło mi się w głowie i na ciebie upadłam.

- Nie martw się, podzielę się z tobą.

- A ja z tobą nie. Mam nadzieję, że woda będzie ci smakowała. Dlaczego nie chciałeś, żeby Francis pomógł ci wstać?

- Już mówiłem, że tak mi dobrze. Poza tym leżenie działa leczniczo. Więc leż spokojnie, dopóki nie wróci.

- Mnie nie boli kręgosłup. - Chciała wstać, ale nie dlatego, że było jej niewygodnie. Jego bliskość budziła w niej pragnienia, na które, jak jej się zdawało, zdołała się uodpornić. Okazało się, że wcale nie. I to ją niepokoiło.

- A nie boisz się, że znów ci się zakręci w głowie? Chyba nie chcesz się przewrócić?

- Proszę, proszę, ależ ty jesteś troskliwy!

- Cały ja. Mężczyzna na deszczowe dni. Pomogę zażegnać każdy kryzys.

- Raczej pomożesz go wywołać - odpaliła i nie czekając na jego ripostę, dorzuciła zniecierpliwiona: - Na miłość boską, muszę ci coś powiedzieć, więc zamknij się wreszcie i słuchaj, bo chcę mieć to już z głowy!

- Przepraszam? To gorsze niż wizyta u dentysty - stwierdził z udawanym współczuciem.

Zacisnęła zęby. Gideon absolutnie nie zasługuje, by go przepraszała, ale obiecała sobie, że to zrobi, choćby miało ją to zabić.

- To, co mam do powiedzenia...

- Obawiam się, że możesz nie zdążyć, zanim wróci Francis.

- Nie ułatwiasz mi zadania.

- Przepraszam...

Powiedział to celowo, ale nie dała się rozśmieszyć.

- Problem w tym, że mam obsesję na punkcie kontrolowania wszystkiego i wszystkich...

- Patrz, co za zbieg okoliczności. Właśnie miałem to powiedzieć - przerwał jej w chwili, gdy nabierała powietrza, by wyrzucić z siebie nieszczęsne „przepraszam”.

Wytrącił ją z rytmu, ale skupiła się i mówiła dalej:

- Nie znoszę, kiedy ludzie wtrącają się w moje sprawy, próbują wpływać na moje życie i podejmować decyzje za moimi plecami, nie dając mi wyboru.

Oczekiwała, że w tym miejscu Gideon wyrazi słowa skruchy za swoje naganne zachowanie.

- To wszystko?

- Jak mówiłam, zanim brutalnie mi przerwano, chcę przeprosić za nieco zbyt gwałtowną reakcję na twoje despotyczne postępowanie - cedziła przez zęby, a kiedy wbrew jej oczekiwaniom nadal się nie kajał, dodała: - Jeśli mam być szczerą, miałam pełne prawo zrzucić cię z pomostu i zostawić na łasce krokodyli. - Odetchnęła głęboko i uśmiechnęła się do siebie. - No dobra. Skończyłam.

- Cieszę się, bo już się bałem, że mam czuć się winny.

Milczała.

- Rozumiem. A teraz posłuchaj mojej wersji tak zwanych przeprosin. W firmie to ja podejmuję decyzje i oczekuję, że wszyscy będą wykonywali moje polecenia...

- Praca dla ciebie musi być czystą rozkoszą.

- Owszem. Jestem hojnym i wyrozumiałym szefem.

- Z obsesją na punkcie kontroli?

- Wręcz przeciwnie. Chętnie deleguję obowiązki. Najlepszy dowód, że ludzie pracują dla mnie latami i ani myślą odejść. Mój sukces przyciąga jak magnes.

- Chyba nie to miałam od ciebie usłyszeć - zauważyła z przekąsem.

- Na przyszłość będę pamiętał, że nie pracujesz dla mnie.

- Czyli zanim przemeblujesz mi życie, odbędziemy szczerą i poważną rozmowę, tak? Nawet jeśli będziesz musiał mnie obudzić.

- Aż tak daleko bym się nie posuwał.

- Teraz rozumiem, dlaczego czujesz się tu jak w domu.

- Śmiało. Mów, co ci leży na sercu.

Wzruszyła ramionami.

- To oczywiste. Ciągnie wilka do lasu. - Oczekiwała, że zrewanżuje się kąśliwą uwagą, ale milczał. - Halo? Gideonie?

- Tak... - odparł z roztargnieniem, wracając myślami z sobie tylko znanych odległych rewirów. - Wiesz, jak wbić pazur tak, żeby bolało.

Co takiego? Leżał ze wzrokiem wbitym w sufit, ale po chwili również odwrócił głowę w jej stronę. Uśmiechnął się, ale był to uśmiech pozbawiony szczerości. Bardziej maska niż wyraz prawdziwych uczuć...

- Czy po tym, jak powiedzieliśmy sobie parę słów prawdy, możemy spokojnie razem mieszkać? Czy jednak mam się wynieść na podłogę do biura?

- Myślałam, że moje przeprosiny zamykają tę kwestię. - Westchnęła. - Oto jak się sprawy mają. Po pierwsze - gdyby nie trzymał jej za rękę, pokazałaby to na palcach - wiem od Cryssie, że przyjąłeś zaproszenie na ślub, a to oznacza, że przed końcem weekendu się stąd nie ruszysz. Więc lepiej zacznij myśleć o prezencie.

- To już załatwione. Po drugie?

- Co?

- Powiedziałaś: po pierwsze, więc zakładam, że jest jakieś „po drugie”, a nawet „po trzecie”.

- Tak, ale... jakim cudem tak szybko zorganizowałeś prezent?

- Przekażę pieniądze na ich fundację.

- Powiedziała ci o tym? Widzę, że nie traciliście czasu na rozmowę o pogodzie.

- Jak sama napomknęłaś, Cryssie to chodząca szczerłość i słodycz - odparł. - Poza tym nie istnieje coś takiego jak darmowy PR. Po drugie?

- Czekał, co ja chciałam...? Aha, przepisy bhp obowiązują każdego, łącznie z właścicielem ośrodka. Więc czy nam się to podoba, czy nie, jesteśmy na siebie skazani. Dwoje świrów z obsesją na punkcie kontroli pod jednym dachem.

- A po trzecie?

- Nie ma po trzecie.

- Szkoda. Zapowiadało się obiecująco.

- Cóż, skoro nalegasz... - syknęła, wrywając dłoń z jego dłoni. - Po trzecie nikt nie powiedział, że będziemy spali w jednym łóżku. - Obserwowała, jak Gideon ostrożnie unosi się na łokciach i opiera się o ścianę. - No proszę, jak szybko ci się poprawiło. Wystarczyło, że postawiłeś na swoim.

- Nie powiedziałem, że w ogóle nie mogę się ruszyć.

Po prostu nie chciałem ryzykować, że znowu zawisnę na drzwiach od szafy.

- Pewnie. Lepiej było zostawić je otwarte, żebym nabiła sobie guza - warknęła, wyjmując ubrania na zmianę. - Naprawdę wyjeżdżasz jutro rano? Chętnie cię spakuję - dodała szybko, by przypadkiem nie wychwycił nuty rozczarowania w jej głosie.

- A co z zaproszeniem na ślub?

- Jeśli okażesz się hojnym darczyńcą, Cryssie na pewno ci wybaczy. Mówiłeś, że musisz być w Patagonii?

- Pojechał tam jeden z pracowników.

- A co z obsesją na punkcie kontrolowania? Pozwolisz, żeby ktoś załatwiał za ciebie tak ważne sprawy?

Odkąd Josie Fowler wparowała rankiem na jego pomost odziana w szlafrok, nie pomyślał o Patagonii ani razu. Za dobrze się bawił, dokuczając jej, w czym wcale nie pozostawała mu dłużna. Myślał o tym, patrząc jak zamyka szafę. Dopiero teraz zauważył, że na drzwiach wisi długa biała suknia.

- Co to jest, do cholery? - warknął, zapominając o żartach.

- Suknia Cryssie.

- Domyślam się. Pytam, co tu robi?

- Jutro rano w domku państwa młodych odbędzie się pierwsza sesja zdjęciowa. No wiesz, wspaniałe łoże, świece, płatki róż... Genialna reklama dla Leopard Tree.

- Zabierz ją stąd! - nakazał, błyskawicznie stając na nogi.

- Gideon! - Przerażona wyciągnęła rękę, by go powstrzymać.

- Nic mi nie jest! - Odtrącił ją.

- Nie chodzi tylko o zdjęcia - wykrztusiła, zszokowana jego reakcją. - Jutro po południu przyjeżdża Tal.

- I co z tego?

- Jak to co? Pan młody nie może zobaczyć sukni, bo to zła wróżba.

Zła wróżba...

Dwa słowa złowrogo zadźwięczały mu w uszach. Oparł się o ścianę, tym razem nie z powodu kręgosłupa. Ugięły się pod nim nogi.

- Suknia nie może tu zostać - powtórzył.

- To mój pokój! - broniła się. - Pamiętasz naszą rozmowę sprzed piętnastu minut? Obiecałeś, że nie będziesz się wtrącał w moje sprawy. Jestem odpowiedzialna za tę sukienkę, dlatego zostanie tu do dnia ślubu!

- Przesady i zabobony - warknął. - A co ze zwyczajem, że pan młody nie powinien widzieć panny młodej w dniu ślubu? Przecież będą spali w jednym łóżku!

- Wcale nie! Cryssie spędzi ostatnią noc z druhnami i koleżankami, a Tal z kolegami, więc... - Urwała w pół zdania, bo przypomniała sobie, że w związku z rozstaniem drużbów plan diabli wzięli.

- Jakiś problem?

- Kolejne wyzwanie dla Wujka Dobra Rada! - fuknęła, ale się zreflektowała. - Słuchaj, lepiej usiądź. Nie forsuj się. Nie wiem, o co chodzi, ale jesteś zdenerwowany.

- Nic mi nie jest. - O własnych siłach doszedł do kanapy i tam zastał go Francis, który właśnie nadszedł. Gideon bez słowa wziął szklanekę whisky i wypił do dna. - Przepraszam, pomyliłem się. Musisz przynieść jeszcze jedną.

- Nie trzeba. - Josie spojrzała niepewnie na Francisca.

- Rób, co mówię - nakazał Gideon, nieprzyzwyczajony, że ktoś neguje jego polecenia. - A co dziś mamy na kolację? Mam nadzieję, że znajdzie się coś smacznego dla panny Fowler? - zapytał, by ją zdenerwować.

Po raz pierwszy chciał, żeby sobie poszła...

- Szef kuchni poleca tagine z jagnięciny.

- Co ty na to, Josie? Masz ochotę?

- Proszę sobie nie robić kłopotu - zignorowała go. - Jeśli będę miała ochotę na drinka, wypiję go w barze. Proszę przynieść panu McGrathowi, co dla niego przygotowano.

- Powiedz szefowi kuchni, że...

- Gideon!

- ...że jest mi przykro z powodu tego zamieszania - dokończył.

- Przecież pan wie, że on z przyjemnością ugotuje dla pana wszystko. Bardzo nam zależy, żeby pan wyzdrowiał. Moja żona nie może się doczekać, kiedy pan do nas zajrzy. Chce osobiście podziękować panu za książki.

- Przed wyjazdem na pewno ją odwiedzę.

- Kupujesz książki żonie Francisca? - zapytała Josie, gdy zostali sami.

- Nie jej, tylko ich dzieciom - wyjaśnił. - A więc wolisz towarzystwo innych gości niż kolację ze mną?

- Nie zależy ci na moim towarzystwie. Chcesz się najeść jagnięciny.

- Nie ukrywam, że wolę to niż niskokaloryczne świństwa. Po chilli od razu poczułem się lepiej. Tak było, dopóki nie postanowiłaś się mnie pozbyć.

A konkretnie, dopóki nie przyniosła tej przeklętej sukni ślubnej.

- Nikt cię tu nie trzyma siłą - zauważyła cierpko. - Skoro jesteś na chodzie, nie ma powodu, żebyś zostawał.

- Z kim się umówiłaś?

- Przyjdź do jadalni i sam zobacz - rzuciła tonem równie ostrym jak jego ton. - A teraz, jeśli pozwolisz, wezmę prysznic. Obowiązki czekają.

- Nie zapomnij zapalek, bo nie będziesz miała czym zapalić świec - przypomniał. - Chociaż osobiście wolę kąpać się w świetle gwiazd.

- A próbowałaś kiedyś zrobić w takim świetle makijaż? - spytała zde gustowana. - Nie musisz odpowiadać.

- Co się stało? - zapytał, gdy stanęła w drzwiach łazienki, wahając się, czy pójść dalej.

- Coś... przebiegło.

- Coś? To znaczy co?

- A skąd mam wiedzieć? Przecież tu jest ciemno.

- Chyba nie boisz się pajaków?

- Zwykłych nie. Niestety, jesteśmy w Afryce, a tu pająki są wielkie i włochate. I mają zęby.

- Szczękoczułki.

- Właśnie. Szczękoczułki. To kolosalna różnica. Od razu czuję się lepiej.

- Pamiętaj, że pajak znacznie bardziej boi się ciebie niż ty jego.

- Doprawdy? Cóż za ulga. Obiecuję, że będę uważała, aby go nie wystraszyć.

- Chcesz, żebym wszedł z tobą i cię popilnował?

Spojrzała na niego z ukosa w taki sposób, iż przez chwilę miał nadzieję, że się zgodzi. Niestety...

- Nie potrzebuję ochroniarza, tylko światła - burknęła, odruchowo spojrzawszy na moskitierę falującą delikatnie dzięki wieczornej bryzie.

- Elektryczność pozbawiłaby nas takich magicznych efektów - zauważył, widząc, że jest pod wrażeniem.

- To prawda - szepnęła, po czym dodała zadziornie: - Wspomnę o tym fotografowi. Mam nadzieję, że ludziom z „Celebrity” spodobają się takie dziewiętnastowieczne efekty.

- Byłbym szczęśliwy, gdyby podobały się tobie - wymknęło mu się, zanim zdążył zastanowić się, co mówi. Nie po raz pierwszy dzisiaj. A może pierwszy raz od dziesięciu lat był sobą...

- Lepiej powiedz, co za niespodzianka czeka na mnie w łazience? Chyba nie hipopotam?

- Na pewno nie. Wspinaczka nie jest ich najmocniejszą stroną. Stawiam na gekona.

- Gryzie?

- Jeśli będziesz dla niego miła, nie.

- Super! A jak nie będę miła?

- Daj spokój! Nic ci nie grozi. Zwłaszcza w tych buciorach - uspokoił ją. - Tylko pamiętaj, żeby je rano porządnie wytrząsnąć. To jedna z podstawowych zasad przetrwania w buszu.

Josie mruknęła coś pod nosem i zapaliwszy zapałkę, weszła do łazienki. Szybko zapaliła świece, których migotliwe płomienie odbiły się w lustrach, tworząc niepowtarzalny nastrój.

- Wszystko w porządku? - zawołał Gideon.

- Chyba tak. Nie widzę tu niczego, co mogłoby mnie pożyć - odparła. - Te świece są urocze, ale chce, żeby w każdej łazience znalazła się porządna duża lampa gazowa, która oświetli każdy kąt.

- A co z ekscytacją, przygodą? - zapytał przekornie.

- Uwierz mi, że jeśli chodzi o ekscytację, miałam jej dziś aż nadto.

- A to jeszcze nie koniec. Na wszelki wypadek zostaw uchylone drzwi. I jak by co, krzycz.

W odpowiedzi usłyszał stuk zatrzaskiwanych drzwi. Znak, że jego towarzystwo doskwiera jej bardziej niż stado pajaków. Pewnie miała prawo tak się czuć...

Oparł głowę o poduchę i przymknął oczy, by nie patrzeć na suknię. Zaraz ją gdzieś schowa, żeby go nie drażniła, ale najpierw trochę posiedzi, posłucha szumu wody z prysznicą. Ten odgłos go uspokajał, napawał otuchą. Czuł, że nie jest sam. I dobrze mu z tym było.

Uśmiechnął się, wspomniawszy, jak Josie próbowała obudzić w nim zazdrość. Nie chciała powiedzieć, z kim zje kolację (domyślał się, że ma randkę z Cryssie). Prowokowała go, a przecież po tym, jak przez cały dzień zatruwał jej życie, ma prawo mieć go powyżej uszu.

Nazwała go świrem z obsesją na punkcie kontroli. On tak o sobie nie myślał. Jednak było faktem, że skupił się na jednym celu, czyli rozwoju firmy. Ciągłe szukał wyzwań. Rozwiązał problem z noclegiem właśnie dlatego, że nikt inny nie potrafił tego zrobić. Całe życie ustawiał wysoko poprzeczkę. I nigdy nie miał dość. Nowe ośrodki w niedostępnych miejscach, coraz bardziej ekstremalne atrakcje, przekraczanie granic - wszystko to, co jego ojciec odrzucał jako absurdalne.

Kto przy zdrowych zmysłach przejedzie pół świata, by skoczyć na bungee? Wyruszy na wyprawę psim zaprzęgiem po północnych krańcach Kanady albo przemierzy pieszo pustynię Kalahari?

Tak bardzo chciał udowodnić światu, że jego chłopięce marzenia są realne. I pewnego dnia rozwiną się w dobrze prosperujący biznes.

Jego rodzina w to nie wierzyła. Nawet Lisa, kobieta, dzięki której Leopard Tree zmieniło się z prymitywnej bazy safari w wysmakowany pod względem estetycznym luksusowy ośrodek, nie była w stu procentach przekonana do jego śmiałych wizji.

Wbrew sobie spojrzął na suknię, która dla niego była upiorną zjawą z przeszłości. Poczuł, że ma dość, więc wstał i wepchnął ją do szafy. Potem, oparty plecami o drzwi, wytarł z czoła zimny pot. Przyjechał tu, by raz na zawsze oddzielić przeszłość grubą kreską. Nie udało się. Przeszłość nadal go ściagała, odbierała spokój. Jak to ujęła doktor Connie? „Kiedyś będziesz musiał przestać się miotać”.

Odsunął od siebie przygnębiające myśli. Woda w łazience nadal szumiała. Wyobraził sobie, że jest tam razem z Josie. Tulą się do siebie, ona masuje mu plecy, kojąc ból. Na myśl o jej drobnych piersiach dotykających jego skóry zrobiło mu się duszno, więc postanowił natychmiast wziąć prysznic. Lodowaty. Delikatnie uchylił drzwi, by sięgnąć po ręcznik. Nagle kątem oka dostrzegł jakiś ruch, więc otworzył je nieco szerzej i zaczął rozglądać się po mrocznych kątach. Wreszcie dostrzegł na podłodze ciemny kształt. Nie był to gekon, ale duży drapieżny pająk na nocnych łowach.

Woda przestała lecieć i zapadła martwa cisza. Za chwilę Josie wyjdzie spod prysznic, zobaczy pająka i zacznie krzyczeć. Ma więc szansę zostać bohaterem.

W nagrodę naga kobieta rzuci mu się w ramiona.

Usłyszał charakterystyczny zgrzyt drzwi od kabiny. Rzucił ręcznik na pająka, delikatnie zgarnął go z podłogi i wyniósł na zewnątrz.

TTLR

ROZDZIAŁ ÓSMY

„Zgodnie z tradycją państwo młodzi obdarowują gości pięcioma migdałami symbolizującymi: zdrowie, dostatek, długowieczność, płodność i szczęście. Współczesna organizatorka dorzuci do upominku coś, co nawiązuje do zainteresowań młodej pary”.

Serafina March „Ślub doskonały”.

- Ale z ciebie panikara! - rugała siebie samą, szykując się w łazience do wyjścia. - Oddaję ci twoje królestwo i znikam! - zawołała, gdy gotowa wróciła do pokoju.

Okazało się, że gdy robiła makijaż i ubierała się, Gideon zniknął. A razem z nim suknia Cryssie.

- Gideon!!! - Przerażona wybiegła na podest.

Wyszedł spod prysznic pod domkiem okręcony ręcznikiem wielkości chusteczki do nosa. Tak wspaniale zbudowany, że z wrażenia odebrało jej głos.

- Dlaczego krzyczysz? - zdziwił się.

- Sukienka... - wykrztusiła - co z nią zrobiłeś?

- Schowałem do szafy. A ty myślałaś, że dałem małpom do zabawy?

- Nie. Przepraszam cię. Po prostu...

- Jesteś za nią odpowiedzialna. Już to słyszałem. Pokój jest twój, więc możesz w nim trzymać, co chcesz.

- Nie rozumiem, dlaczego tak bardzo się wkurzyłeś z powodu tej sukienki...

- Zapomnij o tym - rzucił tak ostrym tonem, że aż się cofnęła. - I nie draż tematu. To nic ważnego.

Głupi by się zorientował, że jest wręcz odwrotnie. W jego życiu musiało zdarzyć się coś, co sprawiło, że nabrał awersji do ślubów. Widocznie doświadczenie było na tyle bolesne, że nawet nie chciał o tym mówić.

- Ja wiem, że całe to zamieszanie jest dla ciebie utrapieniem. Przysłowiowym bólem w tyłku...

- Trochę wyżej - zażartował, ale jej nie rozbawił.

- Do jasnej cholery, przestań sobie robić ze mnie jaja! Nie rozumiesz, że ta impreza jest dla mnie piekielnie ważna? Sylvie wiele ryzykowała, proponując mi spółkę. Na razie nie ustawia się do mnie kolejka zdesperowanych kobiet błagających na kolanach, żebym urządziła im ślub. Ta impreza musi mi się udać...

- Dlaczego?

- Jak to dlaczego? Co to w ogóle za pytanie?!

- Dlaczego mówisz, że twoja współpracowniczka wiele ryzykowała?

A niech to jasny szlag! Że też musiało jej się to wymknąć! Kiedy wreszcie nauczy się trzymać język za zębami? To dlatego, że tak bardzo jej zależy, by wszystko przebiegło bez zakłóceń...

- Masz motywację, jesteś pełna entuzjazmu i naprawdę angażujesz się w to, co robisz - wyliczał. - Na miejscu Cryssie sto razy wolałbym, żebyś to ty trzymała mnie za rękę w dniu ślubu, a nie ciotka Cary.

Gdyby Sylvie tu była, powiedziałałaby to samo. Tylko się nie rozpłacz, nakazała sobie surowo, przelykając łzy.

- Sorry, Tarzan, nic z tego nie będzie - rzuciła rezolutnie, by pokazać, że w pełni nad sobą panuje.

Nawet odważyła się spojrzeć mu w oczy, ale zaraz tego pożałowała, gdyż dostrzegła w nich nieme pytanie: Dlaczego mówisz, że to było ryzyko?

- Cryssie na mnie czeka - wymówiła się, chcąc jak najszybciej uciec. - Przepraszam, muszę zabrać aktówkę.

- To służbowa kolacja? - zapytał.

- W pewnym sensie. Musimy ustalić, jak posadzić gości, a potem przygotowujemy podarunki dla gości.

- Podarunki?

- Tak.

- Najpierw musimy poskładać pudełeczka, które wyglądają jak klubowa koszulka Tala, a potem wypełnić je różnymi drobiazgami. - Nie wiedziała, po co mu to mówi. Co go to może obchodzić?

- Może przyda się wam ktoś do pomocy?

- Proszę? - Roześmiała się z niedowierzaniem. - Zgłaszasz się na ochotnika?

- A wyglądam na takiego? - Uniósł brwi. - Miałem na myśli Alesię i inne dziewczyny z obsługi. Będą szczęśliwe, że mogą pomóc. Ale... - wzruszył ramionami - nie będę ci niczego narzucał. - Josie!

- Przepraszam, zamyśliłam się.

Przez cały wieczór Cryssie gadała jak nakręcona, a ona nie mogła się skupić. Jej niespokojne myśli co chwila biegły do Gideona siedzącego samotnie w domku pośród drzew.

„Może przyda się wam ktoś do pomocy?“, zapytał od niechcena. Oczywiście nie miał na myśli siebie. To przecież absurd! Do tego stopnia był przeciwny ślubom, że nie mógł znieść widoku ślubnej sukni.

A jednak, kiedy szybko wycofał się ze swego pomysłu i niemal wypchnął ją za drzwi, by nie kazała czekać na siebie pannie młodej, czuła dziwny żal. Instykt podpowiadał jej, że bezmyślnie zniszczyła coś niezwykle rzadkiego.

- A gdzie ty będziesz siedziała? - zainteresowała się Cryssie. - Nigdzie nie widzę twojego nazwiska.

- Cały czas będę się kręciła gdzieś na zapleczu - odparła z roztargnieniem.

- Żartujesz sobie ze mnie? - obruszyła się Cryssie. - Posadzę cię tutaj! - Narysowała ołówkiem krzyżyk. - Obok Gideona.

- Nie, daj spokój! - zaprotestowała Josie.

Z coraz większym niepokojem analizowała swoje uczucia. Dlaczego tak bardzo przejmuje się tym, że sprawiła mu przykrość? Takie rozterki to groźny znak. Gorszy niż gapienie się na Gideona, całowanie się z nim albo fantazjowanie, że robi mu relaksacyjny masaż wonnym olejkiem. To były doznania czysto fizyczne.

Troska, by przypadkiem nie zranić jego uczuć, to kompletnie inna historia.

- To ty daj spokój! - ofuknęła ją Cryssie. - Chcę, żebyście oboje byli na przyjęciu przedślubnym.

- Serafina March nie byłaby zachwycona tym pomysłem - zauważyła Josie, chwytając się jednej z zasad zawodowego kodeksu postępowania jak tonący brzytwy.

- Naprawdę? - Cryssie zachichotała, przyciągając ciekawe spojrzenia gości jedzących późną kolację. - Jej na pewno bym nie zaprosiła.

Josie spojrzała na zamówioną przez Cryssie butelkę szampana.

- Co ty na to, żebym sama zajęła się resztą? - westchnęła. - Jutro czeka cię ciężki dzień, a przecież musisz wyglądać bosko podczas sesji.

- Miałam ci pomóc w pakowaniu podarunków - przypomniała Cryssie.

- Szkoda paznokci - zauważyła Josie przytomnie.

Najwyższa pora odprowadzić ją do domku.

Chwilę trwało, nim zdołała zapakować ją do łóżka. Szampan sprawił, że Cryssie stała się gadatliwa, a w końcu tak się rozkleiła, że zaczęła chlipać.

- Josie, będziesz przy mnie cały czas? - pytała, pociągając nosem. W niczym nie przypominała kobiety, która parę godzin wcześniej określiła swój ślub mianem „cyрку dla mediów”. Josie udzieliło się jej wzruszenie. W pewnej chwili poczuła, że ma w oczach łzy. Tak to już jest ze ślubami, że potrafią poruszyć czułą strunę w duszy największego twardziela.

- Będę przy tobie cały czas, możesz na mnie liczyć - obiecała. - A teraz wskakuj do łóżka. I śpij dobrze.

Kiedy Cryssie zasnęła, Josie uporządkowała porzucane ubrania, zdmuchnęła świece, i zostawiwszy pannę młodą, wróciła do pustej jadalni. Goście przenieśli się tymczasem do otwartego holu, by, skupiwszy się wokół paleniska, snuć przy drinku opowieści o swych przygodach. Sądząc po najróżniejszych akcentach, przyjeżdżali tu z całego świata, zwabieni magiczną aurą tego miejsca.

Jutro rano przeniosą się do innych baz, by dalej realizować swoje marzenie. Będą przeprowiać się przez pustynię, oglądać wodospad Królowej Wiktorii albo bladym światem podpatrywać goryle. A ona ma do złożenia ponad sto pudełek na prezenty i nikogo, kto mógłby jej w tym pomóc. O Alesii nawet nie myślała, bo o tej porze w recepcji nie było już żywej duszy; jeśli ktoś miał pilną sprawę, musiał zadzwonić po recepcjonistkę. Tego robić nie zamierzała. Szybko przygotowała sobie miejsce pracy i przy świecach zaczęła składać pudełeczka. Tak ją to pochłoneło, że zupełnie straciła poczucie czasu; nawet nie zauważyła, kiedy goście poszli do pokojów, a ognisko przygasło.

- Josie?

Rozkojarzona uniosła głowę.

- Gideon! - zdumiała się. - Jak tu doszedłeś?!

- Wolnym krokiem.

- Chryste Panie! Siadaj! - Zerwała się od stołu. - Mogę ci jakoś pomóc?

- Przestań! Nie rób zamieszania. I nie przeszkadzaj sobie - dodał, siadając ostrożnie na krześle, które mu podsunęła. - Co ty sobie w ogóle wyobrażasz? Wiesz, która jest godzina? Już myślałem, że spadłaś z kładki...

- Czekałeś na mnie? - spytała z niedowierzaniem.

- Cały dzień leżałem, nic dziwnego, że nie jestem zmęczony - odparł. - I rzeczywiście na ciebie czekałem - przyznał, po czym dodał, jakby w obawie, że Josie znowu zacznie się z niego śmiać: - Widzę, że masz armię pomocników. Gdzie Cryssie?

- Śpi. Wypiła trochę szampana i biedna się rozkleiła.

- Puściły jej nerwy?

- Chyba nie. Mówiła, że tęskni za matką. - Usiadła i sięgnęła po kolejne pudełko.

- To zrozumiałe. Kiedy przyjeżdża jej matka?

- Problem w tym, że nie przyjeżdża. Umarła parę lat temu.

- Przykra sprawa.

- Zwłaszcza w przededniu ślubu. Na co dzień człowiek jest tak zaganiany, że o tym nie myśli, ale...

Nagle dopadło ją wzruszenie. Identycznie jak Cryssie, która dopiero co śmiała się i tryskała humorem, by po chwili tonąć we łzach. Po prostu nagle dotarło do niej, że w tak ważnym dniu nie będzie przy niej najbliższej osoby. Kiedy Cryssie przechodziła kryzys, Josie jakoś się trzymała. Wiedziała, że musi być tą silniejszą, bo jeśli obydwie zaczną rozpaczać, nie wyniknie z tego nic dobrego.

Gideon nieświadomie wyzwolił tłumione emocje. Niesamowite, że zupełnie obcy człowiek nie spał, tylko czekał, aż bezpiecznie wróci do domu. Od lat nikt tego nie robił. Dłonie zaczęły jej drżeć tak mocno, że niechcący pogmiotła pudełeczko, które usiłowała złożyć. Wtedy Gideon zrobił dla niej to, co ona wcześniej dla Cryssie.

Wyciągnął rękę i przytulił ją do siebie, niczym skała, na której można się oprzeć, by bezpiecznie przeczekać, aż przetoczy się wezbrana fala wspomnień. O czasach, gdy była przerażona, wściekła, zdesperowana. I o dniu, gdy wreszcie wydarzyło się coś niezwykłego: Sylvie ją objęła i zaproponowała, by została jej współniczką. Josie czuła się wtedy taka szczęśliwa, że dosłownie pękała z dumy. Jediną osobą, z którą chciała podzielić się radością, była matka. Tak bardzo pragnęła powiedzieć jej, by się o nią nie martwiła, bo wszystko się pomyślnie ułożyło.

- Przepraszam cię - chlupała, mocząc łzami jego koszulę. - Tyle lat nikt nie czekał, aż bezpiecznie wrócę do domu.

- Ile?

- Prawie osiem.

Wtuliła twarz w jego ramię i z rozkoszą chłoneła zapach świeżo upranego lnu. Kojarzył jej się ze szczęśliwym dzieciństwem, czystą piżamą, poczuciem bezpieczeństwa...

- Miałam wtedy siedemnaście albo osiemnaście lat. Byłam na szkolnej imprezie i wróciłam do domu bardzo późno. Mama czekała na mnie, udając, że ogląda film. Zrobiła czekoladę i siedziałyśmy sobie w kuchni i gadałyśmy. Opowiadałam jej o chłopaku, który odprowadził mnie do domu, o tym, jak się bawiłam. To była jedna z tych cudownych rozmów, kiedy dookoła jest cisza i nikt nie zawraca głowy. - Nic nie rozprasza, nie gra radio, a drugi mąż matki nie wrzeszczy, by dać mu piwo, papierosy albo coś do jedzenia. - Dopiero tamtej nocy zauważyłam, że mama wygląda bardzo mizernie. Ubranie dosłownie na niej wisiało. Domyśliłam się, że jest chora. Poprosiłam, żeby poszła do lekarza, zrobiła badania...

Okazało się, że ten etap matka ma już za sobą.

Josie pociągnęła nosem i odsunęła się, by znaleźć chusteczkę. Wtedy spostrzegła, że trzyma w rękach zmięty niebiesko-pomarańczowy karton. Gideon chwilę odczekał, a potem delikatnie wyjął go z jej rąk i podał chusteczkę. Białą, płócienną, porządnie wyprasowaną. Tak ją to poruszyło, że gotowa była znów się rozplakać.

- Masz zapasowe pudełka? - zapytał Gideon.

- Całe mnóstwo - odparła, ocierając łzy.

- Pokaż. - Wziął jedno do ręki, przyjrzał się uważnie, po czym złożył je z taką precyzją, jakby robił to całe życie. - I co potem? Wkłada się coś do środka?

- Tak.

- Bierzmy się do roboty, bo czas ucieka. Wszystkie są takie same? - zapytał chwilę później. - Myślałem, że kobiety dostaną pudełka z podobizną Cryssie w niebieskiej sukience z pomarańczowymi wstążeczkami.

- Hej, co to za seksistowska uwaga? - uśmiechnęła się. - To jest ślub partnerski.

- Wiem, ale przynajmniej się uśmiechnęłaś.

- Dzięki.

- Polecam się na przyszłość.

Przyszłość...

- Przepraszam, że zmoczyłam ci czystą koszulę - rzuciła, byle coś powiedzieć.

- Wyschnie. Przykro mi z powodu twojej mamy.

Potrząsnęła głową, nie chcąc wracać ani na chwilę do tamtych koszmarnych lat.

- Okej, wystarczy - powiedziała, przeliczywszy pudełka. - Napijesz się kawy albo herbaty?

- O tej porze w kuchni nie ma nikogo.

- Może ty potrzebujesz wykwalifikowanego kucharza, żeby zagotować wodę, ale ja podołam temu zadaniu - powiedziała, wymownie wznosząc oczy do nieba.

- To jeszcze dorzuc do tego kanapkę i jestem twój.

- Wiem, że jesteś mój. Problem w tym, że nie potrafię się od ciebie uwolnić.

- Racja. Cały dzień niepotrzebnie wcinam się w twoje sprawy - rzekł łagodnie. - Już sobie idę. - Wstał i lekko dotknął jej ramienia w geście „gdybyś mnie potrzebowała, jestem”. - Zostawię zapalone światło.

- Nie...

Nie chciała, by odchodził. Rzeczywiście od samego rana uprzykrzał jej życie, a przynajmniej tak jej się zdawało, bo chciała udowodnić całemu światu, że nie potrzebuje niczyjej pomocy. Że jest w pełni samodzielna i samowystarczalna. I godna zaufania...

- Nie zostawia się niedokończonej pracy - mruknęła, otwierając torebkę z migdałami w cukrze. - Zaczynaj je wkładać do pudełek, a ja w tym czasie zrobię ci kanapkę.

Milczał, więc zerknęła na niego dyskretnie, ale z jego miny niewiele dało się wyczytać. Za to plama na koszuli, nieco powyżej serca, zdradziła jej tę informację, na której najbardziej jej zależało. Może Gideon był człowiekiem despotycznym, lubiącym rządzić i przejmować inicjatywę, ale na pewno nie bał się uczuć. Kiedy na czymś mu zależało, angażował się bez reszty i nie wycofywał. I wreszcie to najważniejsze: wcale nie był jej wrogiem, tylko sprzymierzeńcem.

- Dobry pracodawca karmi swoich pracowników, zwłaszcza kiedy pracują po godzinach - oznajmiła.

Gideon z zainteresowaniem obserwował jej wewnętrzną walkę. Wiedział, że Josie chce, by został, ale nie potrafi powiedzieć tego wprost. Zastanawiał się, co takiego spotkało ją w życiu, że tak bardzo boi się otworzyć. Miał wielką chęć złapać ją za ramiona, potrząsnąć i powiedzieć, że żyje się tylko raz, więc trzeba w pełni wykorzystać każdą chwilę, która jest nam dana. Powstrzymał się jednak i zamiast prawić morały, wszedł w konwencję rozmowy, w której oboje czuli się najlepiej:

- Biały serek nie wystarczy, żeby skłonić mnie do pracy.

- Nie? Więc czym trzeba cię karmić?

- Zgadnij. Chodźmy do kuchni zobaczyć, co tam mają - zaproponował i niemal jednocześnie syknął z bólu, bo obrócił się tak niefortunnie, że kręgosłup dał o sobie znać.

- Usiądź, poradzę sobie sama - powiedziała.

- To nie jest zwykła domowa kuchnia. Trzeba umieć z niej korzystać.

- Co ty powiesz? Przez rok pracowałam jako pomoc w hotelowej kuchni - odparła - i uwierz mi, że to miejsce nie ma przede mną tajemnic.

- Doskonale, będę ci mówił, co masz robić.

Josie знаła go już na tyle, by wiedzieć, że nie zdoła go przekonać, by się nie forsował. Dlatego bez słowa podniosła jego rękę, położyła na swoich ramionach i objąwszy go w pól, powiedziała:

- No to chodźmy.

W kuchni nie było żadnych krzeseł, więc oparła go o ścianę i otworzyła lodówkę.

- Co my tu mamy... Ser, wędlna, ryby... Na co masz ochotę?

Akurat nie na jedzenie...

- Coś gorącego? - podsunął.

- Gorącego? - powtórzyła, udając, że nie rozumie aluzji. - Ale myślisz o czymś pikantnym, jak chilli, czy po prostu gorącym?

- Ty proponujesz, ty decyduj.

- Dobrzeee...

Niech sobie nie myśli, że nie potrafi go skusić...

- Co ty na to: biały chleb, masło, chrupiący bekon, sadzone jajko i...

- I?

- Na przykład brązowy sos?

- Josie, takiej kanapce święty by się nie oparł.

- Oboje wiemy, że do świętego ci daleko - skwitowała, licząc, że go rozśmieszy. Nic z tego. Zamiast się śmiać, przyglądał jej się badawczo. A potem ostrożnie odepchnął się od ściany, zabrał jej bekon, który właśnie wyjęła z lodówki, i sięgnął po patelnię. - Już to kiedyś robiłeś - zauważyła mało inteligentnie.

- Zdarzyło mi się raz czy dwa. Ja to zrobię, bo jak szef kuchni jutro się wkurzy, będzie na mnie - wyjaśnił.

- Nie wkurzy się. To dusza człowiek. Trochę się bałam, że się obrazi, bo Serafina wzięła catering z zewnątrz, ale nic takiego się nie stało.

- Ślub jest w niedzielę? - zapytał, potrząsając patelnią.

- Tak. To ma jakieś znaczenie?

- Paul należy do kościoła, który zabrania swoim członkom pracy w niedzielę.

- Tak? A skąd to wiesz? Myślałam, że nie zajmujesz się prowadzeniem swoich ośrodków.

- Rzeczywiście tego nie robię. Ale Leopard Tree było pierwszym ośrodkiem, który zbudowałem od podstaw. Paul pracuje tu od początku, sam przyjmowałem go do pracy. Przedtem był zatrudniony w dużym hotelu w Afryce Południowej, ale zrezygnował, bo szefostwo nie chciało pójść mu na rękę i musiał pracować w niedzielę.

- Ty mu na to pozwalasz.

- Już ci mówiłem, że jestem dobrym szefem.

- Wiem, wiem. Jego dzieciom też przywozisz książki?

Na jego ustach pojawił się ciepły uśmiech.

- Dzieci Paula są już dorosłe. Najstarszy syn studiuje medycynę w Londynie. - Sprawnie przewrócił bekon na drugą stronę. Josie nie musiała pytać, kto sponsoruje te studia. - Jak to było, kiedy pracowałaś jako pomoc kuchenna? - zapytał, gdy zaczęła smarować chleb masłem.

- O czym tu opowiadać? - Wzruszyła ramionami. - Szorowałam, zmywałam, obie-
rałam warzywa. I już.

- A co ze studiami? Nawet jeśli chciałaś popracować w kuchni, żeby potem wyko-
rzystać te doświadczenia, rok terminowania to trochę długo.

Z uporem smarowała chleb, bo nie miała odwagi na niego spojrzeć, a czuła, że jej
się przygląda.

- Nie skończyłam studiów - odparła, wyjmując talerze. - Mama była umierająca,
ktoś musiał się nią opiekować.

- Przecież miała męża.

- Owszem. Co pijemy? Kawę czy herbatę?

- Na kawę trochę za późno.

- Więc herbata, choć powinno być kakao - mruknęła, sięgając po czajnik. Wolą, by Gideon nie drażył tematu jej ścieżki zawodowej. Ani ojczyma.

- Wspominałaś, że miał problemy z kręgosłupem, więc pewnie niewiele pomógł -
zauważył.

- Kiedy zabrakło pensji mamy, jedno z nas musiało pójść do pracy. Woląłam głó-
dować, niż zostawić ją pod jego opieką. Na szczęście perspektywa opieki nad umierającą
żoną podziała jak cudowne lekarstwo na jego dolegliwości. Błyskawicznie znalazł sobie
pracę w pobliskim pubie, który i tak był jego drugim domem.

ROZDZIAŁ DZIEWIĄTY

„Przedślubne śniadanie, złożone z wykwintnych dań, to ważny punkt uroczystości”.

Serafina March „Ślub doskonały”.

Gideon natychmiast wyczuł zadawnioną urazę i gniew. Próbowwała to ukryć, sięgając po swą ulubioną broń, czyli sarkazm, ale zdradzały ją nienaturalnie nerwowe ruchy. Jej głęboka niechęć do męża matki była oczywista, ale Gideon podejrzewał, że chodzi o coś więcej. Mową ciała dawała do zrozumienia, że nie powinien zadawać zbędnych pytań.

- Po śmierci matki nie mogłaś wrócić na studia?

- Nie! - Napełniła kubki herbatą, a każdy jej ruch był jak okrzyk: przestań mnie wypytywać!

Gideon postanowił na chwilę odpuścić i skupił się na smażeniu jajek. W tym czasie ona czyściła blat.

- Pewnie nie byli zadowoleni, kiedy rzuciłaś pracę w kuchni - powiedział, gdy z kanapkami na talerzach wracali do jadalni.

- Może i nie byli, za to ja tak - przyznała.

Wolała nie dodawać, że traktowali ją gorzej niż młodocianego przestępcę, który trafił do poprawczaka za wyrywanie torebek starszym paniom. Dawali jej najgorszą robotę, kazali harować za dwóch i oczekiwali, że wszystko będzie gotowe, zanim zdążą o tym pomyśleć. Miała być lepsza od wszystkich. I potulna jak baranek. Miała słuchać i nie gadać. A już na pewno nie dyskutować z szefem kuchni, który traktował ją gorzej niż trędowatą i mógł w każdej chwili posłać na bruk.

Gideon wybrał stół z widokiem na rzekę, nad którą pod osłoną nocy przychodziły zwierzęta.

- Plecy chyba mniej cię bolą - zauważyła, gdy odsunął dla niej krzesło.

- Niesamowite, jakie cuda może działać perspektywa smacznej kolacji w interesującym towarzystwie.

- W interesującym towarzystwie? - podchwyciła, i położywszy palec na ustach, udawała, że analizuje jego słowa. - „Zjadłem kolację z interesującą kobietą”. Która dziewczyna chciałaby coś takiego usłyszeć?

Uśmiechnął się, ale odniosła wrażenie, że robi to z uprzejmości.

- Jeśli będę miał wybór między piękną kobietą a interesującą kobietą, zawsze wybiorę tę drugą - odparł.

- Błagam! Daj mi spokój!

Roześmiał się, tym razem szczerze. Zadowolona, że udało jej się odciągnąć go od trudnych tematów, sięgnęła po kanapkę.

- Mniemam, pycha! - mruknęła po pierwszym kęsie. - Zapomnij, że kazałam ci się wynosić. Nie wiedziałam, co robię. Gdybym miała wybierać między mężczyzną przy stojnym a dobrze gotującym, zawsze wybiorę tego drugiego.

Gideon nie zapalił świec, bo księżyc, prawie w pełni, dawał wystarczająco dużo światła. W srebrzystym blasku dostrzegła, że lekko się uśmiecha.

- Gdzie się nauczyłeś tak dobrze gotować?

- Jako młody chłopak często biwakowałem - odparł, zlizując żółtko z palca. - Wędrowałem, pływałem kajakiem. Sprawdzałem, czy moje pomysły wypalają, dopiero potem umieszczałem je w ofercie.

- Tak wpadłeś na pomysł organizowania wyjazdów dla spragnionych mocnych wrażeń?

- Niezupełnie. Moja rodzina miała biuro turystyczne, więc mam ten biznes we krwi.

- No popatrz, a ja myślałam, że jesteś energicznym przedsiębiorcą, który wytycza nowe trendy i przeciera szlaki wariatom, którzy są gotowi zapłacić kupę kasy za to, żeby mogli skrócić sobie kark.

- Coś w tym jest. Mój ojciec chciał sprzedawać typowe rodzinne wakacje. Ja wręcz przeciwnie. Nie mogliśmy się dogadać. On mówił, że jego klienci nie są zainteresowani takimi wariactwami. Mylił się. Ludzie bez względu na wiek lubią poczuć, jak szybciej bije im serce. Poczuć strach, ale go przezwyciężyć. Skoczyć ze spadochronem, przemierzyć pustynię, przelecieć balonem nad wodospadami Wiktorii...

- Wybrać się na wędrowne safari w Botswanie - uzupełniła, gdy na chwilę zamilkł. Wszystkie jego drogi prowadziły tu. Nad tę rzekę i jej rozlewisko.

- Początkowo myślałem o safari w Afryce - sprostował. - Na uniwersytecie poznałem dziewczynę, która miała tutaj ojca. Facet był zawodowo związany z kopalniami diamentów. Ciągłe słyszałem od niej o delcie rzeki Okavango, ptakach, przyrodzie. Kiedy zacząłem planować safari, zadzwoniłem do niej i poprosiłem o radę. Zaproponowała, że będzie moim przewodnikiem.

A więc ona?

- Pokazała mi swoje ulubione miejsca. Wędrowaliśmy, rozbijaliśmy obozy, robiliśmy notatki. Kochaliśmy się.

Pewnie! Jakżeby inaczej!

- Ostatniej nocy rozbiliśmy obóz właśnie tutaj. Siedzieliśmy przy ognisku, a noc była wtedy tak jasna jak dziś. W pewnej chwili dostrzegłem pośród liści charakterystyczny błysk. To były oczy lamparta, który wylegiwał się na gałęzi, cierpliwie czekając na ofiarę. Byliśmy pewni, że to my podpatrujemy przyrodę, tymczasem pokazało się, że przez cały wieczór byliśmy obserwowani.

Josie poczuła, jak włosy stają jej dęba. Nerwowo rozejrzała się dokoła.

- Myślisz, że może gdzieś tu być? - szepnęła.

- Tamten na pewno nie, ale jego potomstwo tak. Nasi goście przyjeżdżają tu, aby podglądać ptaki, ale tak naprawdę każdy marzy o tym, żeby zobaczyć wielkiego drapieżnego kota.

- W takim razie jestem wyjątkiem - stwierdziła. - W zupełności wystarczy mi moja kotka.

- Tylko tak mówisz. Zobaczysz, jutro pokażę ci lamparta.

Nie zamierzała z nim dyskutować, choć miała ochotę powiedzieć, że jeśli chodzi o dzikie zwierzęta, jej ciekawość w zupełności zaspokajają londyńskie wróble.

- Dlatego zbudowałeś ośrodek w tym miejscu? - zapytała. - Na pamiątkę spotkania z lampartem?

- Lissa... od razu powiedziała, że to miejsce doskonale nadaje się na stałą bazę, gdzie można odpocząć po długiej wędrówce.

Lissa. Czy była piękna? Kobieta, która nosi takie imię, musi być piękna. Elegancka, wyrafinowana. Nie to co ona ze swoim pospolitym Josie. Lissa na pewno była interesująca. I mądra. Josie poczuła w sercu lekkie uczucie zazdrości, do której w ogóle nie miała prawa.

- Myślałem o prostym, niedużym obozie z namiotami i podstawowymi urządzeniami sanitarnymi - przyznał. - Ale Lissa miała inną wizję. Wymarzyła sobie Leopard Tree takim, jakie jest dziś.

- To musi być naprawdę wyjątkowa osoba - rzekła, walcząc z narastającym wzruszeniem. Nie chciała myśleć o jego pocałunkach, o tym, jak jej ciało idealnie dopasowało się do jego ciała. Ani o tym, jak wyznał, że nie ma do kogo wracać...

- Rzeczywiście była niezwykła. Miała ogromną wiedzę. Potrafiła dostrzec rzeczy, których ja nie widziałem.

Dlaczego mówi o tej kobiecie w czasie przeszłym?

- W dniu, kiedy przy wieźliśmy tu pierwsze podpory pod pomosty, otworzyliśmy butelkę szampana. Wypiliśmy po kieliszku, a trochę wylaliśmy na rozpaloną ziemię, dziękując, że przyjęła nas łaskawie. Potem poprosiłem Lissę o rękę.

Kolejne elementy układanki zaczynały tworzyć całość. Tylko że Josie nie chciała wiedzieć, co było dalej. Nie czuła się gotowa słuchać opowieści o jego cierpieniu. Czuła jednak, że Gideon chce to z siebie wyrzucić. Chciał mówić, a ona na szczęście umiała słuchać.

- Co się stało? - zapytała łagodnie.

Odwrócił się od rzeki i spojrzał jej w oczy.

- Ja zostałem tutaj, żeby doglądać prac, a Lissa wróciła do domu i zajęła się przygotowaniem do ślubu. Postanowiliśmy, że spędzimy tu miesiąc miodowy.

W najdalej położonym domku, domyśliła się. Jak najdalej od cywilizacji. Kochając się. Tworząc nowe życie. Podpatrując śledzące ich lamparty.

- Zainstalowałem telefon satelitarny i zadzwoniłem, żeby powiedzieć, kiedy przylecę. Lissa chciała wyjechać po mnie na lotnisko, ale powiedziałem, żeby została w domu, bo jest okropnie zimno, a ja sobie poradzę.

Nie...

- Wszedłem do domu i zacząłem ją wołać. Nie odpowiadała, więc obszedłem wszystkie kąty. W jednym z pokoi zobaczyłem ślubną suknię wiszącą w pokrowcu na drzwiach szafy. Wiedziałem, że Lissa będzie z tego bardzo niezadowolona, więc od razu chciałem wyjść. Wtedy ktoś zadzwonił do drzwi...

Josie zasłoniła dłonią usta, by stłumić głuchy jęk. Gideon nawet tego nie zauważył; znajdował się w zupełnie innym świecie.

- To był policjant. Lissa postanowiła zrobić mi niespodziankę i jednak pojechać na lotnisko.

Nie, nie, nie...

- Umierała na oblodzonej jezdni, a ja w tym czasie jechałem pociągiem. Gdybym wtedy do niej nie zadzwonił, gdybym po prostu wsiadł do tego pieprzonego samolotu...

- Od tamtej pory nigdy tu nie byłeś, prawda?

Pokręcił głową.

- A dlaczego przyjechałeś właśnie teraz? - zapytała.

Nie dla siebie, dla niego. Ta historia musi się dopełnić. Gideon nie przeżył żałoby do końca, dusił w sobie żal, obwiniał się. Wreszcie nadeszła pora wyzwolenia.

- Jakiś czas temu właściciele sieci hoteli złożyli ofertę kupna Leopard Tree. Doszedłem do wniosku, że to dla mnie idealne wyjście. Sprzedam ośrodek i będę miał spokój.

- I co? Okazało się, że to nie takie łatwe?

- Właśnie. Głównie ze względu na pracowników, którzy są tu od początku. Francis był pierwszym, który pogratulował nam z okazji zaręczyn. Lissa była matką chrzestną jego dziecka.

- Pomagasz im.

- Materialnie tak, ale wiem, że to najmniej ważne ze wszystkiego. Zaslugują na więcej uwagi. Kiedy pomyślałem, że miałbym tak na zimno sprzedać ten ośrodek... - Pokręcił głową. - Po prostu nie mogłem. Postanowiłem, że najpierw muszę tu przyjechać i osobiście im o tym powiedzieć. Powiedzieć Lissie.

- Przykro mi...

- Mnie również, bo to była cholernie dobra oferta. - Starał się nadać swoim słowom lżejszy ton.

- Wystarczająco dobra?

- Teraz już wiem, że nie. Nigdy nie będę w stanie pozbyć się tego miejsca - przyznał. - Ono jest częścią Lissy. I częścią mnie. Źle zrobiłem, trzymając się od niego jak najdalej.

- Źle. Bardzo źle - potwierdziła, wiedząc, że Gideon nie szuka u niej pocieszenia, tylko prawdy.

- Okazuje się, że jestem bardziej podobny do ojca, niżbym chciał - stwierdził, biorąc ją za rękę. Ona od dawna chciała do zrobić, ale obawiała się, że jeśli go dotknie, zburzy niezwykle nastrój chwili. - Ucieczka od smutnej rzeczywistości to nasz rodzinny sport.

- Nie tylko wasz - odrzekła cicho. - Wiele osób ratuje się w ten sposób przed cierpieniem.

Ona też udawała, że nie widzi, jak matka niknie w oczach. Ocknęła się, gdy na ratunek było już za późno.

- A jak postąpiłaby Lissa? - zapytała.

- Gdyby to ona została sama? Na pewno by nie uciekła z Leopard Tree. Zawsze żyła blisko natury, więc rozumiała, że śmierć jest nieodłącznym elementem życia. Dlatego trzeba się z nią pogodzić. - Gdy to mówił, w wyrazie jego twarzy zaszła zmiana. Zupełnie jakby nagle opuściło go napięcie. - Jestem pewny, że przyjechałaby tutaj - ciągnął. - Rozpaliłaby ogień, ugotowała coś smacznego, otworzyła butelkę wina. Rozsypałaby moje prochy nad rzeką, a potem wlała do wody trochę wina, prosząc, aby rzeka pilnowała mnie w mojej ostatniej podróży. Następny kieliszek wylałaby na ziemię, aby podziękować za wszystko, co nam dała. Potem napiłaby się sama, zjadła coś i żyła dalej.

Wino byłoby rozwodnione łzami, pomyślała Josie, ale Gideon na pewno to wie.

- Każdy z nas w inny sposób usiłuje poradzić sobie ze stratą kogoś bliskiego. Dzięki Lissie zbudowałeś swoje imperium, jej wizja stała się jego fundamentem. I ona w tym żyje.

- Chciałbym, żeby to była prawda. Problem w tym, że byłem tak zajęty tworzeniem nowych miejsc, że całkiem zapomniałem o tym, od którego wszystko się zaczęło. Żyłem w ciągłym biegu. Moja lekarka z Londynu powiedziała, że jadę na pustym baku...

- Ale w końcu się zatrzymałeś. Przecież pogotowie lotnicze zabrałoby cię, dokąd byś tylko chciał. A ty walczyłeś ze mną, żeby tu zostać.

- Nie dlatego z tobą walczyłem - mocniej ścisnął jej dłoń - przecież o tym wiesz. To już dziesięć lat, Josie. Nie żyłem przez ten czas jak mnich, ale jesteś pierwszą kobietą, którą... - zawiesił głos - którą dostrzegłem.

- Tak...

Dobrze to ujął. Ona też od razu go dostrzegła. Ledwie na niego spojrzała poprzez gałęzie, a odniosła wrażenie, jakby zapaliło się w niej wewnętrzne światło.

Czerwone. Symbol zagrożenia.

- Wszystko przez te moje fioletowe włosy - orzekła, celowo bagatelizując prawdziwe znaczenie jego słów. - Teraz rozumiem, dlaczego tak nie znosisz ślubów. - Wiedziała, że nigdy nie zapomni jego miny, gdy zobaczył suknię Cryssie. Trzeba znaleźć dla niej inne miejsce. - Pewnie poczułeś się tak, jakby koszmar powrócił.

- Ja swój koszmar już przeżyłem. A to jest tylko ślub. A skoro o nim mowa, zdaje się, że mamy jeszcze sporo pracy. - Puścił jej rękę i wstał od stołu.

Josie dołączyła do niego, lecz on, zamiast ruszyć z miejsca, niespodziewanie chwycił ją za rękę.

- Tam! - szepnął. - Widzisz go?

Zdezorientowana spojrzała w stronę rzeki. W pierwszej chwili nic nie dostrzegła. Wtem w mroku błysnęły złowrogie oczy drapieżnika.

- Co to? - zapytała ledwie słyszalnym głosem, choć wcale nie potrzebowała odpowiedzi.

Gideon bez słowa ścisnął jej ramię. W tej samej chwili potężny dziki kot bezszelestnie zeskoczył na ziemię i błyskawicznie schwytał bezbronne stworzenie, które przyszło do wodopoju. Odbyło się to tak szybko, że nim Josie zdążyła zareagować, było po wszystkim; drapieżnik i jego ofiara zniknęli w gęstwinie drzew.

- Co to było? - Instynktownie przytuliła się do niego.

- Jakaś nieduża antylopa, chyba dikdik. Natura rządzi się swoimi prawami. - Objął ją, gdy porażona okrucieństwem tej sceny zadrżała. - Tak wygląda naturalny łańcuch pokarmowy. Kiedy lampart zabije ofiarę, pożywi się wiele gatunków. Szakale, ptaki, owady. Nawet ziemia, która będzie miała naturalny nawóz.

- Życie toczy się dalej. - Spojrzała mu w oczy.

Zawahał się, lecz po chwili skinął głową.

- Życie toczy się dalej. W rytm naturalnego cyklu. Narodziny, małżeństwo, śmierć. W ten weekend odbędzie się ślub. Okazja do świętowania. Więc lepiej dokończmy robić te twoje podarunki.

- Późno już.

- Nie szkodzi. Jak nie chcesz, żebym usnął, opowiedz mi bajkę.

- Co takiego?

- Bajkę. O tym, kto skinął magiczną różdżką i zmienił Kopciuszka z pomocy kuchennej w księżniczkę, czyli współwłaścicielkę dobrze prosperującej firmy - mówił, wracając do lekkiego tonu.

Uznała to za dobry znak; czarna godzina minęła.

- Aha, już rozumiem. Ty mi pokazałeś swoje, a teraz ja mam ci pokazać moje, tak?

- Nie powiem nie, jeśli taka twoja wola.

- Zostańmy przy planie A - odparła, zadowolona, że w migotliwym świetle świec nie widać jej rumieńców. - Skoro masz jeszcze tyle energii, może sam zaczniesz pakować migdały, a ja w tym czasie pozmywam - oświadczyła i nie czekając na odpowiedź, poszła do kuchni. Potrzebowała chwili samotności.

Niestety, nie było jej to dane.

- Szybko ci poszło - stwierdziła, gdy pojawił się w kuchni.

- Chyba nie chcesz, żebym poplamiał twoje pudełeczka tłuszczem z bekonu - mruknął, myjąc ręce.

Josie czuła, że Gideon się jej przygląda. Pewnie się zastanawia, dlaczego nie chce mu powiedzieć, jakim cudem zmieniła się z Kopciuszka w księżniczkę. Chcąc skierować jego myśli na bezpieczniejsze tory, poprosiła, by pomógł jej przynieść do jadalni pudełka z pozostałymi upominkami. Przy okazji się posprzeczali, bo z powodu kręgosłupa nie

pozwoiliła mu nieść cięszych pudełek. I rzeczywiście, wymiana złościwości tak go wciągnęła, że przestał zadawać trudne pytania.

Niemal godzinę zajęło im napełnianie pudełeczek. W tym czasie prawie nie rozmawiali. A gdy wreszcie dowlekli się do domku, Josie była tak zmęczona, że przestało jej przeszkadzać, iż będą spali w jednym łóżku. Nawet nie zapytała Gideona, po której stronie chce spać. Półprzytomna wytoczyła się z łazienki i padła na łóżko.

Gideon siedział w tym czasie na dworze. Swym zwyczajem wpatrywał się w rzekę i myślał o przeszłości. A konkretnie o tym, że w żaden sposób nie może już jej zmienić. Za to nadal ma wpływ na swoją przyszłość.

Zanim wszedł do środka, uniósł do góry płócienne zasłony, zostawiając jedynie siatkę przeciw owadom. Po raz pierwszy od bardzo dawna chciał widzieć, jak wstaje nowy dzień. Potem rozebrał się i podszedł do łóżka. Josie spała na brzuchu, z szeroko rozrzuconymi ramionami i twarzą zaróżowioną od snu. Jak to możliwe, że w pierwszej chwili nie dostrzegł jej urody? Czyżby piękno było ściśle powiązane z poznawaniem drugiego człowieka?

Być może, ale przecież wciąż tak niewiele o niej wie. Nawet po tym jak opowiedział jej o Lissie, nie potrafiła się przed nim otworzyć. Doskonale ją rozumiał. On też musiał czekać dziesięć lat, by znaleźć odpowiednią chwilę i osobę. Kogoś, kto potrafi słuchać.

Położył się obok niej i pocałował ją w ramię.

- Śpij dobrze - mruknął i na wszelki wypadek przesunął się na sam brzeg ogromnego łóżka.

Ale nie czuł się samotny.

ROZDZIAŁ DZIESIĄTY

„Jeśli ślub został dobrze zaplanowany, wszystko działa jak w zegarku, jednak zawsze trzeba być przygotowanym na przykre niespodzianki”.

Serafina March „Ślub doskonały”.

- Josie...

Machnęła ręką, jakby oganiała się od muchy, i wtuliła twarz w poduszkę.

- Obudź się.

Kto to mówi? I gdzie jestem? A kogo to obchodzi? Jeszcze ciemno, więc nie pora wstawać.

- Zostaw mnie w spokoju...

- Proszę cię, otwórz oczy. To bardzo ważne - upierał się głos.

Jego nagły ton z trudem przedarł się przez opary snu.

- Co się stało? - wymamrotała. Ziewnęła, przeciągnęła się, przetarła oczy. A niech to jasny szlag! - Gideon!

Pochylał się nad nią. Ubrany, ogolony. A ona... czuła, że koszula nocna podwinęła się, odsłaniając to i owo. Rzuciła się jak oparzona i nakryła po samą szyję.

- Co się dzieje?

- Pomyślałem, że będziesz chciała obejrzeć afrykański wschód słońca.

- Kpisz czy o drogę pytasz?

- Zaufaj mi, nie pożałujesz. Francis przyniósł nam kawę i ciepłe muffinki... - Podsunął jej jedną pod nos i zaraz zabrał. Bez namysłu wyciągnęła szyję, idąc za smakowitym zapachem jak mały psiak.

- Na podeście. W ubraniu. Masz dziesięć minut.

- Bo jak nie, to co?

- Będziesz żałowała do końca życia.

Akurat, zzymała się, wlokąc się do łazienki. Kawa tak. Muffinka jak najbardziej. A potem wraca do łóżka i będzie spała do rana.

Ubrała się w co popadnie i wyszła na dwór, na powietrze przesycone zapachem ziemi i bzyczeniem owadów.

Gideon podał jej kawę.

- Usiądź.

Nie musiał jej dwa razy prosić. Zaraz jednak przekonała się, że nie chodzi mu o to, iż z niewyspania ledwie trzyma się na nogach.

- Co ty wyprawiasz? - zdumiała się, gdy położył sobie na kolanach jej stopę i zaczął wkładać jej skarpetki. - To moje?

- Chyba tak, były w twoich butach. Zmienisz je, jak wrócimy.

- Niby skąd? - zapytała, w osłupieniu patrząc, jak z wprawą sznurowuje jej buty. Zupełnie jakby miała trzy lata. - Nie wiem jak ty, ale ja planuję wrócić zaraz do łóżka.

- Jeśli to zaproszenie, zostało przyjęte. Jeśli nie, idziemy.

- Ale dokąd? I po co?

- Pokonać strach. Możesz wziąć na drogę muffinkę.

- Tak, pamiętam cię - warknęła, schodząc za nim ze schodków. - Jesteś tym koleśkiem, który daje zaproszenia w formie polecenia.

Minęli budynek główny, mimo wczesnej pory pełen gości jedzących śniadanie, i poszli na przystań. Tam czekał na nich jeden z tubylców. Gideon wymienił z nim parę zdań w języku tswana, po czym pomógł jej wsiąść do niewielkiej łódki.

- Na pewno nie chcesz usiąść z przodu? - zdziwił się, gdy wybrała tylne siedzenie.

- Nie. Schowam się za ciebie i jeśli coś postanowi zeżreć nas na śniadanie, będziesz pierwszy.

Odbili od pomostu i niemal bezszelestnie posuwali się po spokojnej tafli rozlewiska, w której odbijało się różowe niebo. Gideon znów przez chwilę rozmawiał z mężczyzną.

- O co chodzi? - zaniepokoiła się.

- O nic. Moretse mówi, że niedługo przyjdzie pora deszczowa.

- Byle nie w niedzielę.

- Nie martw się, tak szybko się to nie stanie. Popatrz, czapla. Widzisz?

Minęli dużego ptaka, który nawet nie drgnął na ich widok. Potem mieli okazję podziwiać całą menażerię. Antylopy wszelkiej maści, zebry, żyrafy. Gideon potrafił nazwać każde zwierzę. Josie tak się nimi zafascynowała, że zapomniała o bożym świecie. Wychyłona zza pleców Gideona, w zachwycie chłoneła widoki. Niektóre ze zwierząt ustawiły się tak, jakby pozowały do zdjęć. Jednak jej zachwyty budziły nie tylko one. Świeży zapach rzeki o poranku, dziki koncert cykad, głucho pomruki, wrzaski małp. Słońce wznoszące się ponad horyzont.

I Gideon. To on podarował jej tę cudną, niezapomnianą chwilę. Gdy wracali do brzegu, z wdzięcznością przytuliła twarz do jego pleców.

- Dziękuję - szepnęła.

Odwrócił się do niej z uśmiechem i pogłaskał ją po policzku.

Po powrocie z wycieczki wzięła szybki prysznic i natychmiast zmieniła się w profesjonalną „panią od ślubów”, po czym wpadła w młyn tysiąca pilnych spraw. Do południa większość gości dotarła na miejsce. I zgodnie z jej obawami zaczęły się narzekania na brak zasięgu w komórkach.

- Jakiś problem? - zapytał Gideon, który zjawił się w chwili, gdy Josie była bsz-tana przez wyjątkowo rozgniewanego młodego człowieka.

- To jakaś paranoja! - wrzeszczał młodzian. - Muszę skontaktować się dziś z moim agentem...

- Uważa pan, że wyżywanie się na panie Fowler panu w tym pomoże?

- Co? - warknął młody człowiek. - A ty, człowieku, coś za jeden?

Gideon przedstawił się, ale nie wyciągnął ręki.

- Jestem właścicielem tego ośrodka, więc jeśli ma pan jakieś zastrzeżenia, proszę kierować je do mnie.

Mężczyzna wziął to za dobrą monetę, i zapominając o Josie, przeniósł swą złość na Gideona.

- Najpierw proszę przeprosić pannę Fowler - nakazał mu Gideon.

Młody człowiek zbaraniał. Najwyraźniej nie przywykł, by mu przerywano.

- Jeśli pan tego nie robi, będzie pan musiał zadzwonić do agenta z Gabarone. Samolot odlatuje za pięć minut - dodał Gideon.

- Gideonie, pozwól, że ci przedstawię Darrena Bucka - wtrąciła Josie, próbując zapobiec katastrofie. - Darren gra w drużynie Tala i jest jego drużbą.

- Naprawdę? - zapytał Gideon obojętnie. - To wiele tłumaczy. Więc jaka jest pańska decyzja?

Josie struchlała. Darren Buck, przez wzgląd na wybitną urodę ulubieniec kobiet i brukowców, był powszechnie znany z temperamentu, który często go ponosił. A ponieważ jak na piłkarza miał niezłą krzepę, zagrożenie było realne, z czego Gideon wyraźnie nie zdawał sobie sprawy. I nagle stał się cud. Darren chwilę analizował sytuację, po czym ustąpił pola.

- Przepraszam, panno Fowler. Mój agent negocjuje dla mnie kontrakt reklamowy, ale to oczywiście nie jest powód, żeby na panią krzyczeć. Pana też przepraszam.

Gideon skinął głową na znak, że przeprosiny zostały przyjęte.

- Masz pojęcie, co zrobiłeś? - naskoczyła na niego Josie po odejściu Darrena.

- Darren Buck lubi się znęcać nad słabszymi. Może w jego zawodzie ma to sens, ale to nie jest boisko piłkarskie. Nie będę tolerował takiego zachowania wobec pracowników. - Gideon mówił tak samo spokojnie jak podczas niedawnej konfrontacji.

- Tak czy owak, dziękuję.

- A jak przygotowania?

- W porządku. Brakuje nam tylko pana młodego.

- Czy to znaczy, że masz czas zjeść ze mną lunch?

- Teoretycznie tak. Nawet jestem skłonna podzielić się z tobą zakazanymi potrawami, ale obawiam się, że nie będziemy mieli chwili spokoju, bo ciągle ktoś będzie się skarżył na brak zasięgu i dostępu do internetu.

- Zaraz poproszę Davida, żeby rozesłał informację w tej sprawie - obiecał. - Pomyślałem sobie, że ty mogłabyś uciec od tego szaleństwa na jakieś dwie, trzy godziny.

- Chcesz zjeść lunch w innym miejscu?

Nie! Przyspieszone bicie serca było ostrzeżeniem, że zbyt mocno zaangażowała się w tę znajomość. Bez przerwy szukała Gideona wzrokiem. Brakowało jej go, gdy nie byli razem. Jak to się stało?

- Przepraszam, a gdzie na tym pustkowiu można zjeść lunch? - spytała zaskoczona.

- Jest takie miejsce nad rzeką, które chciałbym ci pokazać.
 - Aha... - Domyśliła się, że w pobliżu muszą być inne ośrodki tego typu.
 - Nie daj się prosić. Trochę odpoczniesz, a skargami się zajmiemy - kusił. - Jesteśmy w tym dobrzy.
 - Zauważyłam. - Uśmiechnęła się szeroko.
 - Wystarczy ci dziesięć minut? Będę czekał przed ośrodkiem. Zabierz aparat i paszport.
 - Paszport?
 - To teren przygraniczny. Lepiej być przygotowanym.
 - Jasne... - Dopiero gdy Gideon odszedł, uświadomiła sobie, że przyjęła zaproszenie, choć wcale nie chciała.
-
- Czuję się, jakbym poszła na wagary - przyznała, gdy wyjechali poza teren ośrodka.
 - Dlaczego? Przecież pracowałaś pół nocy, a przez kolejne dwa dni będziesz w pracy non stop - zauważył.
 - Taki zawód. Ojej, przecież to pas startowy - stwierdziła, gdy po krótkiej jeździe zaparkowali na odkrytym terenie.
 - Brawo za spostrzegawczość. Ciekawe, co jeszcze zauważysz - powiedział, pomagając jej wysiąść.
 - Posłuchaj, dokąd my lecimy? - zapytała niespokojnie, patrząc na zgrabną awionetkę.
 - Zaprosiłem cię na lunch, Josie. To jest Afryka, tu nie da się wszędzie dojechać samochodem - tłumaczył.
 - Rozumiem, ale chcę wiedzieć, dokąd lecimy.
 - Nie ufasz mi? - zapytał.
 - To nie jest kwestia zaufania!
 - Jak to nie. Nie protestowałaś, kiedy wiozłem cię samochodem przez busz albo zabrałem rankiem na rzekę pełną krokodyli i hipopotamów - zauważył.
 - Nie mówiłeś nic o krokodylach!

- Bo nie chciałem cię niepotrzebnie niepokoić. Zależało mi, żebyś zobaczyła, jak cudna jest tu przyroda. Nie chcę, żeby Leopard Tree kojarzyło ci się z tłumem snobów w rodzaju Darrena, tylko ze spokojem i pięknem.

Czuła, że robi z siebie idiotkę. Gideon kolejny raz chce podarować jej coś niezwykle rzadkiego, swoją uwagę i czas, a ona robi sceny, bo się po prostu boi.

- Naprawdę myślisz, że mógłbym zrobić ci krzywdę?

- Nie - odparła. - W każdym razie nie celowo.

Nie jego wina, że straciła głowę... Bo jednego była pewna: bez względu na wszystkie cuda natury, które Gideon jej pokaże, Leopard Tree na zawsze będzie jej się kojarzyło tylko z nim.

- Zastanów się, Josie. Możesz przez całe życie chować się w sobie jak w zbroi i pilnować, żeby ktoś przypadkiem nie dostrzegł twojego prawdziwego ja. Albo możesz też zaryzykować.

Poczuć strach i go przezwyciężyć.

- Jaka jest decyzja? - zapytał. - Wsiadasz do samolotu czy wracamy do ośrodka?

Długo zastanawiała się, co robić. W pierwszej chwili rzeczywiście miała ochotę uciec, swoim zwyczajem zamknąć się w sobie. Nagle poczuła, że nie ma ochoty tego robić. Strach przed światem, przed życiem, sprawił, że sama sobie zbudowała więzienie.

- Lećmy! - powiedziała, siląc się na obojętny ton.

Nie chciała, by Gideon zorientował się, jak wiele dla niej znaczy ta decyzja. Na szczęście był tak zajęty przygotowaniem do startu, że prawie nie zwracał na nią uwagi. Chwilę później wznieśli się w powietrze i skierowali na wschód. Josie dopiero teraz miała okazję podziwiać niezwykle widoki. Kiedy leciała z Gabarone do Leopard Tree, była zbyt zmęczona, by dostrzec piękno łąd rozciągającego się pod jej stopami. Teraz z przyjemnością patrzyła na wstęgę rzeki, która niczym zielony wąż wiła się przez półpustynne tereny.

Nagle w oddali pojawiła się dziwna mgła.

- Co to jest?

- Właśnie to chcę ci pokazać. *Mosi O Tunya*.

- Co takiego?

- Dym, Który Grzmi. Tak miejscowi nazywają wodospad Wiktorii.

- Naprawdę? Nie wiedziałam, że jesteśmy tak blisko. Ten dym to para wodna?

- Tak.

Zatoczyli szeroki krąg nad wodospadem, tak by Josie mogła dokładnie go obejrzeć, po czym wylądowali po zambijskiej stronie granicy.

- Dziękuję ci, to naprawdę coś wspaniałego - mówiła wzruszona. - I przepraszam, że byłam taka...

- Daj spokój, nie przepraszaj za to, co czułaś. A teraz chodź. Chcesz przyjrzeć się wodospadowi z bliska?

Najchętniej przyjrzałyby się jemu, ale potulnie poszła w stronę czekającego na nich samochodu.

- Jak znalazłeś to miejsce? - pytała po drodze.

- Nawet nie pamiętam. Przywoziłem tu wariatów, którzy chcieli skoczyć na bungee. Stąd - dodał, wskazując stary żelazny most. - To nadal ich ulubione miejsce.

- Ty też skakałeś?

Oczywiście, że tak! Nie musiał odpowiadać. Wystarczyło, że się uśmiechnął.

- Zanim przyjdzie ci do głowy proponować mi takie atrakcje, od razu mówię nie! - zastrzegła. - Zdecydowanie, nieodwołalnie, po tysiącokroć nie!

- Mądra kobieta. Dobrze, jesteśmy na miejscu.

Pomógł jej wsiąść, zamienił parę słów z kierowcą, a następnie zaprowadził ją do miejsca, z którego mieli najlepszy widok na potężną rzekę Zambezi spadającą z dzikim hukiem w bezdenną przepaść.

- Zróbmy sobie pamiątkowe zdjęcie, jak na prawdziwych turystów przystało, a potem chodźmy coś zjeść - zaproponował. - Rupe, przyjedź po nas za pół godziny - poprosił kierowcę. - Idziemy, Josie. Tylko ostrożnie, bo stopnie są mokre. Lepiej weź mnie za rękę.

Poszedł przodem, pomagając jej zejść po wyciętych w skale schodach prowadzących w głąb skalnej gardzieli. Po paru krokach zatrzymał się przy płaskim kamieniu, na którym postawił turystyczną lodówkę.

- Proszę bardzo, częstuj się - zachęcał. - Wprawdzie to nie Ritz, ale przynajmniej nie trzeba czekać, bo obsługa jest wyjątkowo sprawna. Woda czy napój?

- Woda! - Sięgnęła po chłodną butelkę i z ulgą przyłożyła ją do rozgrzanej skóry na karku. Dookoła nich zwieszały się tropikalne rośliny, wyjątkowo bujne dzięki parnej wilgoci. - Czuję się, jakbym była w raju.

- Sorry, nie zabrałem jabłek. Za to mam naartje.

- Powiedz, co to takiego, może dam się skusić.

- Mała pomarańcza, tyle że zielona. Ale dojrzała.

- A co mi zaproponujesz oprócz pomarańczy?

- Obawiam się, że nic specjalnego. Kanapki, jajka... Następnym razem bardziej się postaram.

Następnym razem? Gideon mówi jej, że będzie jakiś następny raz? Niemożliwe... Choć niczego nie pragnęła bardziej, niż żeby to nie był koniec.

- Jest jeszcze ser, sałatka... - wyliczał, przeglądając zawartość lodówki. Kiedy wreszcie podniósł głowę, zorientował się, że Josie mu się przygląda. - Wszystko w porządku? - zapytał.

- Tak - odrzekła automatycznie. - Nie...

Następny raz oznacza przyszłość. Jeśli chce myśleć o jakiegokolwiek przeszłości, musi powiedzieć Gideonowi to wszystko, co wyznała Sylvie. Musi go ostrzec, bo tego wymaga uczciwość. I musi zrobić to teraz, zanim wrócą do Leopard Tree. Teraz albo nigdy...

ROZDZIAŁ JEDENASTY

„Pamiętajcie o wyborze kwiatów. Powinny mieć wyjątkowo piękny i mocny zapach, który dla gości będzie miłym wonnym wspomnieniem waszego ślubu”.

Serafina March „Ślub doskonały”.

Josie odłożyła kanapkę i potarła dłonią czoło.

- Zapytałeś, czy ci ufam - powiedziała.

- A ty odpowiedziałaś na moje pytanie, wsiadając ze mną do samolotu, żeby lecieć w nieznane.

- Tak, ale tu chodziło o to, że wierzę, że nie wyrządzisz mi krzywdy w sensie fizycznym.

- Nie celowo, tak powiedziałaś. Wszyscy czujemy się bezbronni, kiedy otwieramy się przed drugim człowiekiem i ujawniamy swoje słabości czy lęki.

Spojrzała mu w oczy, szukając potwierdzenia, że po tym, co za chwilę usłyszy, będzie potrafił ją zrozumieć.

- Pocałujesz mnie? - zapytała.

Gideon poczuł, jak torba z kanapkami wyslizguje mu się z rąk. Czy ją pocałuje? A ona w ogóle ma pojęcie, o co go prosi? Kiedy zeszłej nocy robiła wszystko, by zniechęcić go do drażenia jej przeszłości, marzył, by ją przytulić i zapewnić, że nie musi się bać, bo wszystko będzie dobrze. Potem, kiedy położyli się spać, uniósł się na łokciu i długo wpatrywał się w jej twarz, starając się zapamiętać jak najwięcej. A dziś, gdy zobaczył, jak ten głupi Darren na nią krzyczy, ledwie się powstrzymał, by nie złapać gnoja za kark i nie wywalić na zbity pysk z ośrodka.

Nie rozumiał, dlaczego właśnie teraz postanowiła opowiedzieć mu o koszmarach z przeszłości, które do dziś nie dają jej spokoju. Chyba musiał coś powiedzieć, tylko co? Następnym razem...

Tak, to musi być to! Powiedział to naturalnie, bez zastanowienia. Następny raz. Obietnica przyszłości...

Teraz już rozumiał, dlaczego zapytała, czy ją pocałuje. Obawiała się, że po tym, co usłyszy, nie będzie chciał tego zrobić. Czy ją pocałuje? Natychmiast! A czy powinien? Skąd przyszło jej do głowy, że potem już nie będzie chciał? Przecież gdyby ją odrzucił, potwierdziłby jej najgorsze obawy. Jak potem mógłby z tym żyć?

Przecież celowo nigdy by jej nie skrzywdził. Wpatrywała się w niego wyczekująco.

- Jesteś pewna, że tego chcesz?

- Nie. Przepraszam, nie powinnam była cię o to prosić.

- Nie ruszaj się... - Ujął jej twarz w dłonie i lekko dotknął ustami jej warg. - Tylko się nie ruszaj.

Kiedy poczuł znajomy truskawkowy smak i kuszącą miękkość jej warg, przeszył go dreszcz. Rozsądek podpowiadał, że musi wziąć się w garść, nie może dać się ponieść pożądaniu. Przecież bez trudu mógłby sprawić, by zapomniała o bolesnej przeszłości, zapomniała o całym świecie i kochała się z nim w tej parnej grocie.

- Już dobrze? - zapytał, odsuwając się od niej.

Skinęła głową. Objął ją w taki sposób, by mogła oprzeć się o niego, ale nie musiała na niego patrzeć.

- Mama okropnie bała się szpitala. - Gideon miał wrażenie, że Josie mówi bardziej do siebie niż do niego. - Chciała umrzeć w domu.

- Opiekowałaś się nią?

- Tak. To trwało pół roku, może trochę dłużej. Alec w ogóle mi nie pomagał.

- To twój ojczym, tak?

- Tak.

- A co się stało z twoim ojcem?

- Zginął w czasie pierwszej wojny w Iraku. Mama bardzo źle znosiła samotność, a Alec potrafił być zabawny, czarujący. No i lubił pieniądze, a mama odziedziczyła dom po rodzicach i dostawała wysoką rentę po zmarłym mężu. Alec wprost nie mógł się doczekać, żeby się do nas wprowadzić. Ale mama postawiła warunek: najpierw ślub.

- Jak cię traktował?

- Bardzo dobrze, bo wiedział, że tylko czekam na okazję, żeby się go pozbyć. Nigdy mi nic nie zrobił - dodała. - A ty pewnie myślałeś, że się do mnie dobierał, tak?

- Przeszło mi to przez myśl.

- Nikt mnie nigdy nie skrzywdził w sensie fizycznym. Nie jestem ofiarą przemocy seksualnej. Mój problem polega na tym, że boję się stracić kontrolę. A przecież seks właśnie na tym polega, prawda? Trzeba się poddać.

- Pamiętaj, że poddają się obie strony - odparł, zaskoczony jej pytaniem, które zabrzmiało tak, jakby jej doświadczenie erotyczne było zerowe.

- Obie strony? - powtórzyła. - Jakoś nigdy o tym nie pomyślałam...

To było oczywiste. Jak mogło być inaczej, skoro miała w domu antywzór w postaci egoistycznego partnera matki?

- Josie, proszę, powiedz, co się stało?

- Pewnego dnia pielęgniarka, która pomagała mi w opiece nad mamą, namówiła mnie na krótki spacer. Alec był w pracy, więc uznałam, że mogę zostawić mamę na parę chwil. Poszłam do parku, ale czułam się tak zmęczona, że ledwie usiadłam na ławce, zasnęłam. I spałam ponad godzinę. Jak wróciłam do domu, mamy już nie było. Alec powiedział mi, że zaraz po wyjściu pielęgniarki stan mamy bardzo się pogorszył. Nie wiedział, co robić, więc wezwał pogotowie. Pojechałam prosto do szpitala. I zobaczyłam mamę podłączoną do jakiejś maszyny...

- Josie, nie możesz się o to obwiniać...

- Nie żartuj! Moja wina jest ewidentna. Mama zmarła po trzech dniach. Ja w tym czasie nie odchodziłam od jej łóżka, a jak w końcu wróciłam do domu, żeby powiedzieć Alecowi o jej śmierci, zastałam go w kuchni w towarzystwie barmanki z pubu. Miała na sobie szlafrok mamy i piła kawę z jej filiżanki.

- Chryste...

- Nie mam pojęcia, co we mnie wtedy wstąpiło. Po prostu straciłam panowanie nad sobą. Wyrwałam tej kobiecie filiżankę i roztrzaskałam ją o podłogę. Potem zrzuciłam wszystko ze stołu. Zaczęłam wrzeszczeć, wtedy Alec rzucił się, żeby mnie powstrzymać. Złapałam krzesło i rozwaliłam je na jego głowie. Ktoś wezwał policję. Zabrali mnie, ale cały czas się rzucałam, więc na komisariacie zrobili mi zastrzyk uspokajający. Kiedy le-

karz dowiedział się, co zrobiłam, wystawił diagnozę, że jestem niepoczytalna. I dla mojego własnego dobra zamknęli mnie w psychiatryku.

Z trudem przełknęła ślinę, bo ból i gniew wciąż były tak silne, że ścisnęły ją za gardło.

- Nie postawiono mi żadnych zarzutów - zakończyła.

- To chyba dobrze. Lepiej być w szpitalu niż w więzieniu - zauważył ostrożnie.

- Tak myślisz? Wątpię. Trzymali mnie tam pół roku, ale zostałam napiętnowana do końca życia. Zawsze już będę miała opinię wariatki.

- Przecież nie jesteś chora psychicznie. Przeszłaś załamanie nerwowe, to wszystko.

- Co z tego? Zaatakowałam dwie osoby. Kiedy zdałam sobie sprawę, co zrobiłam, byłam w szoku. Po czymś takim nie wystarczy powiedzieć przykro mi, obiecuję, że to się nie powtórzy. Przez pół roku trzymali mnie pod kluczem, obserwowali, faszrowali lekami. To wtedy nauczyłam się kontrolować emocje. Wszystkie. I żadnych nie ujawniać. Kiedy przestałam walczyć i zrobiłam się posłuszna jak dziecko, wypuścili mnie do domu.

- Co zrobiłaś?

- Wróciłam. Zapukałam do drzwi. Otworzyli mi jacyś obcy ludzie. Ich dzieci huśtały się na huśtawce, którą zbudował dla mnie tata.

- Jak to możliwe?

- Przecież to proste. Mama nie podpisała intercyzy, więc Alec jako jej mąż miał prawo rozporządzać wspólnym majątkiem. Sprzedał dom i wyjechał. Poszłam do sąsiadki, żeby zapytać, czy nie wie, gdzie go szukać. Poza tym zostałam bez niczego. Nie mówię nawet o ubraniach i pieniądzach, ale nie miałam ani jednego zdjęcia rodziców, medali ojca... Sąsiadka poprosiła, żebym chwilę zaczekała. I wezwała policję. Bała się, że coś jej zrobię.

- Niemożliwe...

- A jednak - westchnęła. - Ta kobieta znała mnie od dziecka.

- Co się działo potem?

- Pomoc społeczna umieściła mnie w przytułku, pomogli mi znaleźć pracę w hotelowej kuchni.

- Nie było nikogo, kto mógłby ci pomóc?

- Żartujesz? Przecież byłam groźną wariatką - rzuciła z sarkazmem.

Rajski ogród nagle stracił cały urok.

- Gorąco tu. Wracam na górę.

- Nieprawda, że nikt ci nie pomógł. A Sylvie?

Josie zatrzymała się na drugim stopniu.

- Tak, ona jedna we mnie uwierzyła i dała mi szansę na normalne życie. Pytałeś, kto zmienił Kopciuszka w księżniczkę. Ona. Moja dobra wróżka.

- A jak się poznałyście?

- Urządzała wesele w hotelu, gdzie pracowałam. Firma, która zapewniała obsługę kelnerską, przysłała za mało ludzi. Żeby ratować sytuację, nasz menedżer posłał nas na salę. - Przypomniała sobie, jak się wtedy uwijała. Dyrygowała pokojówkami, które nie miały pojęcia, co robić. Słuchały, bo się jej bały. W pewnym momencie wyprowadziła z sali pijaną aktorkę, która zaczynała się kompromitować. Położyła ją spać.

- Musiałaś być niezła, skoro Sylvie cię zauważyła - powiedział Gideon.

- Raczej byłam jedyną osobą, która została, żeby pomóc jej spakować rzeczy. Zaczęłyśmy rozmawiać. Okazało się, że mimo oczywistych różnic świetnie się rozumiemy.

- Od kiedy nie pracujesz w kuchni?

- Od pięciu lat.

- A dziś jesteś odpowiedzialna na organizację najważniejszego ślubu roku.

- Przez przypadek. W normalnej sytuacji zrobiłaby to Sylvie - stwierdziła, żegnając się w myślach z marzeniami o szczęśliwej przyszłości.

- A czy redakcja „Celebrity” była w stanie znaleźć inną organizatorkę, która byłaby gotowa z dnia na dzień przejąć odpowiedzialność za tak dużą imprezę?

- Co chcesz przez to powiedzieć?

- Że już czas, żebyś pożegnała się z przeszłością. Przestań się zamartwiać, co ludzie o tobie pomyślą. Dopóki jesteś dobra w tym, co robisz, mają gdzieś twoją przeszłość. Nie pozwól, żeby człowiek, który zabrał ci dom i wszystkie wspomnienia, zniszczył także twoją przyszłość. Chyba nie chcesz mu dać tej satysfakcji.

- Dzięki za dobrą radę. Jeśli myślisz, że jesteś pierwszym, który mówi mi: weź się w garść, przestań się nad sobą użalać, jesteś w błędzie.

- Jeśli chcesz, żebym ci pomógł w realizacji następnej części planu, jestem gotowy.

- Tylko spróbuj. Podłoga w biurze jest wolna, pamiętaj o tym - rzuciła przez ramię i zaczęła wspinać się na górę.

Tym razem nie próbował jej zatrzymać. Josie miała nadzieję, że w samochodzie Gideon usiądzie obok kierowcy, ale on usadowił się z tyłu, obok niej.

- Wczoraj byłaś wobec mnie szczerą - powiedział. - Chciałem zrewanżować się tym samym.

- Rozumiem. - Nie chodziło o to, co powiedział.

W pewnym momencie odniosła wrażenie, że jej obecność mu ciąży. Nawet jakby od niej się odsunął.

- Próbowałaś odnaleźć Aleca?

- Po co? Żeby kazał mnie wsadzić do więzienia?

- A nie chciałaś odzyskać swoich rzeczy, rodzinnych pamiątek, zdjęć?

- Daj spokój. Jestem pewna, że wylądowały na śmietniku.

- Tak myślisz? Przecież zdjęcia...

- Przepraszam, chyba dostałam esemesa. Nareszcie mam zasięg. Tylko sprawdzę, dobrze?

W drodze powrotnej nie wracali do jej przeszłości. Gideon musiał wyczuć, że Josie nie chce poruszać tego tematu. Znow odgrodziła się od świata.

- Dziękuję za cudowną wycieczkę i pyszny lunch - powiedziała, gdy dotarli do ośrodka. Wskoczyła z samochodu, nie czekając, aż jej pomoże. Wyczuł to i nie kwapił się do wysiadania. - Stało się coś? Bolać cię plecy? - zapytała zaniepokojona.

- Nie, język. Żałuję, że go sobie nie odgryzłem.

- Daj spokój. Byłeś szczerą. A przecież na tym nam najbardziej zależy, prawda?

Do końca dnia wynajdywała sobie coraz to nowe zajęcia, byle tylko nie myśleć o Gideonie. Tak się przejęła rolą, że naprawdę przestała go zauważać. Dostrzegła go dopiero w jadalni, bo wstał od stołu, gdy weszła. Przez chwilę patrzyli sobie w oczy i nawet miała do niego podejść, ale Cryssie odciągnęła ją na bok. Ponieważ wiedziała, że naza-

jutrz czeka ją długi dzień, poszła wcześniej spać. Wstała z samego rana i wyszła, zanim Gideon się obudził.

Do wieczora miała tyle zajęć, że nie wiedziała, w co najpierw ręce włożyć. Miała dosłownie dziesięć minut, by przygotować się do kolacji. Wzięła szybki prysznic, zrobiła makijaż i włożyła jedyną wieczorową sukienkę, jaką ze sobą przywiozła. Welurową, z odkrytymi plecami, kończącą się przed kolanem. Oczywiście fioletową.

Gotowa do wyjścia, przejrzała się w lustrze.

- Do boju! - szepnęła, po czym odwróciła się energicznie i wpadła na Gideona.

W kremowym garniturze i ciemnej koszuli wyglądał tak apetycznie, że mogłaby zjeść go zamiast kolacji.

- Cryssie kazała mi cię znaleźć - powiedział.

- Dlaczego? Przecież się nie zgubiłam - odparła, ale bez protestu poszła do przystani, gdzie cumował statek wycieczkowy.

Na pokładzie udekorowanym kwiatami i oświetlonym latarenkami rozstawiono małe stoliki, przy których siedzieli zachwyceni goście.

- Wspaniale to zorganizowałaś - pochwalił ją Gideon.

- Nie chwal dnia przed zachodem słońca. Pogratulujesz mi jutro, jak już będzie po wszystkim - uśmiechnęła się. - Przepraszam cię, ale muszę sprawdzić, czy wszyscy znaleźli swoje miejsca. Zobaczymy się później.

- O czym myślisz? - zapytał, gdy znalazła wreszcie czas, by usiąść na chwilę przy stoliku.

- O jedzeniu. Jest fantastyczne. Nawet nie wiesz, że bardzo załuję, że Paul nie przygotuje potraw na wesele.

- Powiem mu o tym.

Na chwilę przerwali rozmowę, bo Tal wstał, by zaprosić gości do zabawy.

- Bawcie się dobrze, kochani, bo druga taka okazja już się nie powtórzy, prawda, Cryssie? - mówił, wywołując salwy śmiechu.

- Masz teraz chwilę? - zapytał Gideon.

- Nie bardzo. Dlaczego pytasz?

- Mam wrażenie, że mnie unikasz.

- Ja unikam ciebie?

- Mówisz to tak, jakby było odwrotnie.

- Nie zauważyłeś, że mam teraz sporo czasu. Nie przyjechałam tu na wakacje.

- Faktycznie. A chociaż zatańczysz? - zapytał, gdy razem z gośćmi schodzili na pomost, gdzie grała muzyka.

- Nie!

- W ogóle nie czy tylko ze mną nie?

- W ogóle nie, bo pracuję. Ale nie martw się, nie zabraknie ci partnerek. - Nagle usłyszała podniesione głosy. Dwie kobiety zaczęły się strasznie kłócić. - Oho, zaczyna się. Słuchaj, czy możesz znaleźć Darrena? Zdaje się, że jego obecna chce wydrapać oczy jego byłej - rzuciła pospiesznie i pobiegła rozdzielać rozjuszone rywalki.

Dopadła do nich akurat w chwili, gdy nowa narzeczona wyprowadziła potężny lewy sierpowy. Gdyby Josie nie miała butów na obcasie, pewnie utrzymałaby równowagę. Niestety, straciła ją w chwili, gdy oberwała w szczękę.

- Josie!

Mrugnęła oczami i nie do końca świadoma patrzyła na Gideona, który dopadł do niej jednym susem.

- Będziesz miała niezły siniec - westchnął.

- Do wesela się zagoi. Byle drużna nie była za bardzo pokiereszowana - mruknęła.

- Specjalnie się podstawiałaś, żeby nic się jej nie stało?

- Gdyby musiała leżeć w łóżku, byłaby nieparzysta liczba druchen.

- Na razie spłynął jej tusz. Jak myślisz, wyjdzie z tego?

- Przestań błaznować. I pomóż mi wstać - nakazała.

- Obejmij mnie za szyję. - Gdy to zrobiła, Gideon wziął ją na rękę.

- Czyś ty oszalał? Zaraz ci strzeli w krzyżu!

- Ty się nie martw o mój krzyż, tylko o siebie. Niech ktoś przyniesie nam trochę lodu!

Gideon uparł się, że odprowadzi ją do domku. Zajął się nią troskliwie, dał proszek przeciwbólowy i kazał położyć się do łóżka. Nie buntowała się. Wręcz przeciwnie. Była

mu bardzo wdzięczna, że tak się nią zajmuje. Nawet pozwoliła pocałować się na dobranoc.

Przesiedział przy niej całą noc. Na szczęście spała spokojnie i wyglądało na to, że nic jej nie będzie.

- Jak się czujesz? - zapytał, gdy się obudziła.

- Bywało lepiej. - Próbowала się uśmiechnąć, zamiast tego skrzywiła się, bo szczeka jednak ją bolała. - Jak wyglądam?

- Przepięknie. Siniak będzie się pięknie komponował z kolorem twoich włosów.

- Ha, ha, ha, bardzo zabawne.

- Zdaje się, że nie pierwszy raz oberwałeś - zauważył, delikatnie przesuwając palcem wzdłuż jej blizny.

- A, to? Jak byłam mała, wlażłam na kanapę. I spadłam tak niefortunnie, że rozciąłam sobie skórę o róg stołu. - Spojrzała na niego badawczo. - A ty myślałeś, że to sprawka mojego ojczyma?

- No cóż...

- Nie, ten facet był zbyt leniwy, żeby być agresywny. Przepraszam, możesz wstać? Muszę iść do łazienki.

- Pomogę ci.

- Przestań, przecież nie mam złamanej nogi.

- A ile palców widzisz?

- Jeden.

- A nie kręci ci się w głowie?

- Nie, ale zaraz zsiusiam się do łóżka.

- Wiem, wiem. Daj rękę.

- Dziękuję. - Pogłaskała go po policzku.

- Słuchaj, a dlaczego nie ma kawy i muffinków? - zapytała, wróciwszy z łazienki.

- Zaraz będą. Aha, chyba już - powiedział, gdy rozległ się charakterystyczny dźwięk dzwonka.

Okazało się, że to nie Francis ze śniadaniem, tylko wyraźnie zdenerwowany David.

- Josie, dzień dobry - zaczął grobowym głosem. - Dobrze się czujesz?

- Tak. Stało się coś?

- Obawiam się, że nie mam dobrych wieści. - David spuścił głowę.

- Co jest? - zapytał Gideon.

- Przed chwilą dzwonili z Gabarone. Właściciel firmy cateringowej przepadł jak kamień w wodę. Ludzie przyszli rano do pracy, żeby przygotować jedzenie na wesele, ale pocałowali kłamkę.

- Jak to?! Przecież dwa dni temu z nim rozmawiałam. - Josie nie wierzyła własnym uszom.

- Jakiś czas temu słyszałem plotki, że facet ma poważne problemy finansowe - przyznał David. - Jak w końcu udało się sforsować drzwi do biura, okazało się, że facet zostawił gołe ściany i zwiął. Nie ma ani sprzętu, ani jedzenia.

Gideon przeraził się, widząc, jak Josie blednie.

- Co mamy w chłodni? - zapytał Davida.

- Jagnięcinę, wołowinę, drób. Tylko nie mamy dość czasu, żeby przygotować wykwintny obiad z pięciu dań. Zwłaszcza że dziś niedziela, więc Paul...

- Nie pracuje - dokończył za niego Gideon. - Trudno. Musimy przyrządzić coś prostego. Mięso z grilla, ryż z szafranem i orzeszkami pinii, sałatki. Zadzwoń do Pete'a i powiedz, żeby zrobił zakupy.

- Jest jeszcze jeden problem - jęknęła Josie tak cicho, że ledwie ją usłyszeli.

- Co takiego?

- Tort...

- Cholera jasna! - Gideon popatrzył pytająco na Davida, a ten w odpowiedzi pokręcił bezradnie głową.

- Przykro mi, Josie. Mimo najszczerzych chęci nic tu nie poradzimy.

- Przestańcie, damy radę - ożywiła się. - Upiekę babeczki i zrobimy z nich wspaśniały wielki tort. Ozdobię je białym lukrem, tylko przydałoby się coś do dekoracji. Poproś Pete'a, żeby spróbował coś znaleźć, dobrze?

- Dobrze, to ja już lecę - powiedział David, lecz zanim zdążył odejść, znów rozległ się dźwięk dzwonka.

Po chwili w drzwiach stanął obcy mężczyzna.

- Pani Josie Fowler?

- Tak, to ja...

- Przywiozłem dwa lamparciątka. Co z nimi zrobić?

Ślub i wesele wypadły wspaniale. Dokładnie tak, jak wymarzyła sobie Serafina, a może nawet lepiej.

Josie zwykle oglądała ceremonię sama, potajemnie ocierając łzy. Tym razem było inaczej. U jej boku siedział Gideon. I gdy w chwili składania przysięgi małżeńskiej dopadło ją wzruszenie, wziął ją za rękę. Spojrzała na niego zaskoczona i spostrzegła, że w jego oczach odbijają się te same uczucia, co w jej.

Po ceremonii uszczęśliwiona Cryssie chwyciła ją w ramiona i tak wyściskała, że ledwie łapała oddech.

- Josie, jesteś wielka! Jesteś wspaniała, najlepsza! Będę cię wszystkim polecała. Nie potrafię powiedzieć, jak bardzo jestem wdzięczna wam obojgu - zwróciła się do Gideona. - Słuchajcie, wy też weźmiecie tutaj ślub? - wypaliła.

- Nie!!!

- Nie, Cryssie - odparł Gideon spokojnie. - Znajdziemy jakieś inne miejsce. I na pewno cię zaprosimy.

- Gideon, co ty bredzisz! - zdenerwowała się Josie.

Odwróciła się, by zabić go spojrzeniem, ale nim zdążyła to zrobić, nastąpiło to, co powinno się wydarzyć w każdej przyzwoitej bajce. Książę pocałował Kopciuszka. I to tak, że biedna dziewczyna straciła głowę.

- Chodźmy stąd - powiedział, biorąc ją za rękę. - Jesteś na nogach od bladego świtu.

- Słuchaj, ale...

- Wiem, wiem. Znamy się zaledwie trzy dni. To chciałaś powiedzieć, prawda?

- Tak.

- I bardzo dobrze. Powinniśmy się cieszyć, że tak doskonale się rozumiemy.

- Ale to przecież niemożliwe...

- Tak to już jest z prawdziwą miłością. Spada jak grom z jasnego nieba. Obydwoje znaleźliśmy się tu przypadkiem. Widocznie tak miało być.

- Sama nie wiem... Nie wiem, co powiedzieć... - jąkała się, choć miała zupełną jasność co do tego, że chce zostać z nim do końca życia.

- Proponuję, żebyśmy mimo wszystko przeżyli okres narzeczeństwa. Tylko bardzo krótki - zaznaczył.

- Rekordowo krótki?

- Tak jest.

- I co będziemy robić?

- Będziemy chodzić na randki, do kina. Poznasz moich rodziców. Będziesz mi gotowała kolacje. A jak już będziesz pewna, że chcesz za mnie wyjść, weźmiemy ślub.

- A dziś w nocy? - szepnęła.

- Dziś w nocy będziemy liczyli gwiazdy.

Ślub Josie Fowler i Gideona McGratha odbył się trzy miesiące później na jednej z maleńkich tropikalnych wysp, która jeszcze nie została odkryta przez przemysł turystyczny. Uroczystość była kameralna. Josie nie miała orszaku druhen, tylko jedną, za to najbliższą jej osobę w charakterze świadka. Sylvie. Nie było powodzi kwiatów, tylko dzikie storczyki porastające wyspę. Zamiast muzyki był śpiew ptaków, granie świerszczy i rechotanie żab.

Kolacja również nie była wystawna. Nielicznym gościom podano proste, za to niezwykle smaczne potrawy. O zachodzie słońca państwo młodzi zostawili ich i poszli plażą do małego domku, który wynajął Gideon.

Najpierw szli spokojnie, trzymając się za ręce. Kiedy byli pewni, że nikt ich już nie widzi, puścili się biegiem, śmiejąc się i przeskakując przez fale.

Wpadli do środka przez szeroko otwarte drzwi na taras. Gideon wziął Josie na ręce i zaniósł do sypialni. Tam posadził ją na łóżku obsypanym płatkami róż i wręczył jej białe duże pudło.

- Jeszcze jeden prezent? - zdziwiła się.

- Ten jest wyjątkowy.

- Przecież wiesz, że nie zależy mi na żadnych prezentach. Chcę ciebie - wyznała.
- Myślę, że akurat ten ci się spodoba.
- Mówisz? No dobrze... Ciężki, więc to na pewno nie brylanty - mówiła, rozwiązując wstążki.

- Ale o wiele cenniejszy.

- Zaraz się przekonamy... - mruzczała. - Czemu tak na mnie patrzysz? Gideon, o co chodzi?

Pierwszą rzeczą, którą wzięła do ręki, były medale ojca. Odłożyła je ostrożnie na bok i sięgnęła po album ze zdjęciami.

- Och... - westchnęła przez łzy, patrząc na rodziców. Mamę jako młodą dziewczynę, ojca w mundurze, ich ślubne zdjęcie. - To ja na moim pierwszym rowerze - szepnęła.

- W fioletowej sukience. Co za niespodzianka!

- Mówiłam ci już, jak bardzo cię kocham? - zapytała, obejmując go za szyję.

- Dzisiaj już ze dwadzieścia razy.

- To powiem to jeszcze raz. Kocham cię. I dziękuję, że pomogłeś mi odzyskać przeszłość.

